Nr. 7. Warszawa, dnia 18 (6) Lutego 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po połudnlu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

STRASZNY WYROK.

Wyrok paryskiego sądu apelacyjnego, uznawszy dwu Lessepsów, ojca i syna, Eiffla, Fontane'a i Cottu winnymi oszustwa i sprzeniewierzenia w sprawie panamskiej, skazał ich na kilkoletnie więzienie. Nie będziemy zastanawiali się nad tem, czy on jest zasadny, sprawiedliwy lub zbyt surowy, czy należycie odmierzył i ustopniował karę wszystkim oskarżonym, czy wreszcie słusznie dotknął pp. Fontane'a i Cottu — są to bowiem kwestye małoważne, a dla nas zupełnie obojętne. My widzimy w tym wyroku tylko jeden fakt doniosły: Ferdynand Lesseps z synem i Eiffel zostali skazani na więzienie jak najzwyczajniejsi oszuści. Trzeba sobie uprzytomnić ich potęgę i sławę, ażeby zrozumieć, jakim gromem jest ta wymierzona na nich kara. Ferdynand Lesseps, twórca kanału Sueskiego, to „wielki francuz,“ z którym może żaden z żyjących jego rodaków nie śmiałby się równać. Przez lat wiele był on dumą, chlubą, zaszczytem swojej ojczyzny i gdyby spytano Francyę, którego ze swych synów najwyżej ceni i szanuje, z pewnością wskazałaby jego. Po nad współczesnymi wznosił on się jako kolos Rodyjski, któremu „między nogami okręty przepływały.“ Zdawało się, że ten człowiek trzyma w ręku kulę ziemską i rozmyśla nad przerobieniem jej według swych śmiałych, genialnych planów. Towarzysz i przyjaciel monarchów, mocarzów władzy i siły pieniężnej, przebywał ciągle na niedostępnych dla zwykłego śmiertelntka wyżynach, do których z dołu ziomkowie jego wznosili oczy z nabożnem uwielbieniem. On nie znał przedsięwzięć małej miary, podejmował tylko wielkostylowe. Połączył oceany i części świata jednym kanałem, chciał je połączyć drugim. Nikt nie wątpił, że tego dokona, bez omyłki, bez trudu, owszem, z nieśmiertelną chwałą i korzyścią dla Francyi. Jego nazwisko, umieszczone na czele spółki panamskiej, wystarczało za wszelką rękojmię. Bogaci też i ubodzy otwierali swe kasy, wysypywali z garnków i pończoch oszczędności na koszta przekopania szyi amerykańskiej, wierząc, że wydane pieniądze wrócą do nich obciążone sowitymi zyskami. Bo przecie powierzono je Lessepsowi. O jego synu i spólnikach rzadko kto wiedział, za wszystkich wystarczał im stary Ferdynand, „wielki francuz.“ I tego „wielkiego francuza,“ tego bohatera wieku, tego olbrzyma w ostatnich chwilach życia sąd wsadza do więzienia za oszustwo! Możnaby się nie dziwić jego wielbicielom, gdyby na chwilę pomyśleli, że świat się przewraca do góry nogami.

Syn nie ojciec, ale w każdym razie syn wielkiego ojca, który na niego rzucał odblaski swej aureoli. Zawsze to Lesseps, dziedzic nazwiska i sławy Ferdynanda. Chociażby mu nie dorósł, przez samo pochodzenie nie był człowiekiem zwyczajnym, lecz najczystszej krwi arystokratą chwały, który cokolwiek robił, nie przypuszczał nigdy, że rząd z nim postąpi, jak z ordynarnym szwindlarzem.

A Eiffel! Imię jego stało się głośnem przez wieżę wystawową, ale jak szybko i daleko głośnem! Na całym obszarze cywilizacyi podziwiano jego geniusz, naśladowano go, nazywano twórcą nowej epoki w budownictwie. I on, ogarniając świat dumnym wzrokiem ze szczytu swej wieży, myślał zapewne o tem tylko, że ludzie zawsze wydawać mu się będą mrowiskiem maleńkich robaczków, niezdolnych dostrzedz jego promiennej, w chmurach pogrążonej głowy. I oto sprowadzono go z tej wysokości i wsadzono do więzienia, jak najmizerniejszego z tych robaków.

Nie kreślimy tego obrazu strącenia tytanów dla ironii, dla szyderstwa z nich, gdyż przeciwnie sprawia on nam wrażenie bardzo przykre; chcemy tylko uwydatnić czytelnikom moralną śmiałość sądu, który nie wahał się ich zdruzgotać. O ile bowiem ten widok upadłych wielkości jest smutnym, o tyle widok nieugiętej, nieoślepionej i niepodległej sprawiedliwości wspaniałym. Nikt nie zaprzeczy, że spółka panamska była szajką oszustów i rabusiów, którzy pod osłoną świetnych firm i szlachetnych pozorów ograbiali naród, a jego przedstawicieli zarażali ohydnem zepsuciem. Był to bandytyzm wielkiego kalibru, rzezimieszkowstwo na ogromną skalę, które nie wyciąga portmonetek i nie kradnie sum drobnych, ale zapomocą akcyj, syndykatów i innych sztuk kapitalizmu ograbia łatwowierne masy z milionów. Zwykle ten rabunek odbywa się pomyślnie, a jeśli mu jeszcze patronują słynne imiona, może długo broić bezkarnie. Zahypnotyzowane temi imionami społeczeństwo nie śmie wątpić o ich czystości, a gdy nawet ujrzy na niej plamy, woli zamknąć oczy, niż piętnować. Niewiele jest narodów, któreby postawiły pod pręgierzem Eifflów i Lessepsów.

Francya w wielu punktach gnije, a odkrycia w sprawie panamskiej wykazały tę zgniliznę szerzej i głębiej, niż przypuszczano. Mimo to zachowała ona ze swej dawnej natury pewną zdolność do czynów śmiałych i olśniewających, do rozbijania karzącą ręką bożyszcz powszechnie czczonych, do stawiania szczytnych zasad po nad największymi ludźmi. Czynem takim jest wyrok na spółkę panamską. Nie przeczymy, że byłoby rzeczą ludzką darować winę staremu Lessepsowi, który zsuwa się do grobu, że może należałoby złagodzić karę młodemu i Eifflowi, ale sprawiedliwość powinna była poprzedzić łaskę. Przedewszystkiem należało stwierdzić publicznie, że ci ludzie dopuścili się ciężkiego występku, że od odpowiedzialności nie ubezpieczają ich ani zasługi, ani geniusz, ani

sława, że nie ma tak znakomitego człowieka, któremuby wolno było krzywdzić drugich. To właśnie zrobiono i to nadaje nielitościwemu wyrokowi sądu szczególną wzniosłość. Nie odbiera on praw miłosierdziu, ale odbiera je bezczelnej niecnocie. Na takie wyroki zdobywały się czasem tylko narody starożytne.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gladstone wniósł bil irlandzki śród pełnej Izby i natłoku ciekawych na galeryach. Żąda on dla Irlandyi osobnego parlamentu, który ma się składać ze 100 członków Izby niższej i 48 wyższej. Pierwsi będą wybierani na lat 5, drudzy na lat 8. Wicekról, stający po za parlamentem i stronnictwami, ma być mianowany na lat 6. Jego radę stanowić będzie tajny (dlaczego tajny?) komitet, rodzaj gabinetu ministeryalnego. W parlamencie angielskim uczestniczyć będzie 81 deputowanych irlandzkich, pozbawionych głosu w sprawach, dotyczących wyłącznie Anglii (stosunek bardzo elastyczny, gdyż każdą sprawę można naciągnąć na kopyto wspólne lub angielskie). Teraźniejsza policya w Irlandyi zamieniona zostanie na narodową, podległą wicekrólowi.

Oto są główne zarysy bilu według doniesienia telegraficznego. Naturalnie gazety konserwatywne wróżą mu niewątpliwy upadek, a liberalne — równie niewątpliwy tryumf. Jak się zapowiadają jego losy — mówiliśmy poprzednio.

W Paryżu spadły prawie jednocześnie dwa gromy i oba oczyściły powietrze, miazmatami przesycone: jednym był wyrok w sprawie panamskiej a drugim mowa Cavaignaca. Człowiek ten, na którego teraz oczy zwróciła cała Francya, który stał się bohaterem, „mężem przyszłości“ a według niektórych — następcą Carnota, wyrósł tak nagle, że aż zapewne sam się zdziwił swoją niespodziewaną wielkością. Nie zrobił on bowiem nic więcej, tylko wypowiedział w Izbie długą i ładną mowę, w której wykazał potrzebę moralnego odrodzenia się, powołania do steru państwa ludzi czystych i uwolnienia rządu z pod wpływu potęg finansowych. Mowa ta nie zawierała w sobie myśli nowych, nie była nawet arcydziełem oratorskiem, zrobiła jednak tak wielkie wrażenie, że ją kazano rozpowszechnić publicznie po całej Francyi. Jakiż w niej ton tak silnie podziałał? Ton szarego rachunku sumienia żywiołów dotychczas rządzących i wezwanie do pokuty za grzechy. Pewnemi jej nutami gabinet uczuł się dotkniętym i podobno czeka tylko sposobności, ażeby zażądać dymisyi. Wtedy Cavaignac byłby powołany do utworzenia nowego ministeryum, do którego weszły by żywioły bardziej umiarkowane. Bądź co bądź, nad tym człowiekiem błysła gwiazda, a ponieważ wszyscy są owinięci w mrok, więc on mocno świeci.

„Panamino“ włoskie ślimaczy się na podobieństwo Panamy francuskiej. Ministrowie Grimaldi i Lamora mają się podać do dymisyi, a ktoś z podejrzanych, czy aresztowanych oświadczył, że gdyby chciał być szczerym, nikt Giolittiemu, prezesowi gabinetu, nie podałby ręki. Za często jednak w tych brudnych sprawach powtarzają się takie pogróżki, ażeby do nich przywiązywać jakąś wagę.

Po cichutku, nawet bez wiedzy reporterów, książę Ferdynand Koburski poślubił księżnę Maryę Burbon, córkę księcia Parmy, daleką kuzynkę dworu austryackiego. Ze względu na nieuznane stanowisko nowożeńca małżeństwo jego nabiera szczególnego znaczenia politycznego. Stary Koburg, głowa rodu, zapewnia, że nic o niem nie wiedział. Zapewniać może, tylko niech nie żąda, aby mu uwierzono.

Sekretarz stanu do spraw zagranicznych oświadczył w parlamencie niemieckim, że rokowania z Rosyą w sprawie traktatu handlowego nie zostały jeszcze ukończone i że nie wiadomo jeszcze, do jakiego doprowadzą rezultatu.

Komisya parlamentarna, obradująca nad projektem reformy wojskowej, pomnożyła swe posiedzenia, ażeby dobrnąć do końca. Narodowo-liberalni, postępowcy i sycyalno-demokraci złożyli wnioski, zastrzegające dwuletnią służbę, przyczem grupy te idą kolejno coraz dalej w swych wymaganiach. Z tych wszakże wniosków, poprawek i sporów trudno jeszcze docieć, jaki los czeka ustawę w parlamencie.

BADANIA NAUKOWE.

NAUKA W USŁUGACH POLITYKI.

I. Historyografia niemiecka współczesna.

Ty znasz nasze Niemcy; zaiste nie przestały dotąd być nieukształconemi.

Reuchlin w liście do Manitiusa.

Drugiego dnia po wojnie, 1 września 1872 r., na stronicach *Revue des deux Mondes* pisał Fustel de Coulanges: Od początku bieżącego stulecia pojmowali niemcy w sposób zaiste charakterystyczny zadania nauki historycznej. Naród ten w dziedzinie erudycyi objawia te same właściwości, co i na polu walki. Posiada cierpliwość, występuje w zwartym szeregu, w poważnej liczbie, zachowuje ścisłe karność i przestrzega patryotyzmu. Historycy jego tworzą zorganizowaną armię. Można w niej odróżnić wodzów i żołnierzy. Każdy nowy przybysz-rekrut staje tam po za swym dowódcą-mistrzem, pracuje z nim razem, dla niego przez długie lata pozostaje „bez imienia,“ jak żołnierz. Umieją tam słuchać, umieją utrzymać się na stanowisku ucznia; z czasem i ten zostanie kapitanem, a dwudziestu innych będzie pracowało dla niego. Stąd ta potęga nauki niemieckiej. Postępuje ona zupełnie tak, jak armia niemiecka; dzięki porządkowi, jedności dowództwa, dzięki stałości ruchów zbiorowych — burzy państwa i wygrywa bitwy. Karność jest tam doskonała. Pracownicy idą w szeregach, tworzą pułki i oddziały. Każdy taki oddział ma swoje hasło, swój obowiązek, swoją misyę, swój cel. Wielki plan kampanii, niby plan sztabu generalnego, jest nakreślony z góry. „Szary“ pionek erudycyi często nie wie, dokąd go prowadzą, to jednak nie przeszkadza mu postępować we wskazanym kierunku. Niewiele będzie miał inicyatywy i osobistej zasługi, ale za to żadna najdrobniejsza nawet siła nie przepadnie, nie rozproszy się, żaden promyk nie zgaśnie. Ten wielki organizm działa pod wpływem magicznym jednej woli: jedno pulsuje w nim życie i dusza jedna... *).

*) *Rec. d. d. M.* 1872, t V, od str. 241. Z tej rozprawy, z pracy historyka naszego J. Jarochowskiego

---

4)

Wanda Grot-Bęczkowska.

MARYŚKA.

Maryśka zdała gospodarstwo starej krewniaczce na opiekę, zabrała dzieci i poszła do chrzestych.

Mijała właśnie karczmę, gdy szczęk broni i hałas ją powstrzymał.

— Nowobrańców prowadzą — mówili chłopi.

Dziewczyna drgnęła i obejrzała się.

— A może Jędrek, może on jest między nimi... Wytężyła wzrok na drogę.

Mały oddział, z kilkunastu ludzi złożony, zbliżył się szybko. Wszyscy byli młodzi, głowy mieli zgolone i szare szynele. Posuwali się automatycznie. Tylko jeden, który szedł na przedzie, z głową hardo podniesioną, patrzył śmiało i wesoło, a zamiast bladości, rumieńce krasiły mu smagłe lica.

On się nie smucił, nie żałował nikogo, jak towarzysze jego. Zawsze marzył o tem, aby zobaczyć coś więcej przecie, niż Żelistowskie jezioro.

Dochodzili właśnie do karczmy, gdy Maryśka zabiegła im drogę.

— Jędrek — krzyknęła, zobaczywszy idącego na przedzie chłopaka — Jędrek, kaj ty idziesz? Marności! Jak go postrzygli nieboraka. O mój Jędruś złocisty!.. Radowała się że go widzi a jednocześnie myśl o rozłączeniu doprowadziła ją do rozpaczy.

Chłopiec spojrzał na nią z podełba i złość w nim zakipiała. Maryśka wyglądała teraz okropnie. Czarne kosmyki włosów przylepiły się stargane do bladego czoła, oczy patrzyły dziko, twarz była zmięta, zestarzała.

Jędrek wściekły był na nią. Dopieroż to będą naśmiewać się z niego towarzysze. Przecie wszyscy wiedzieli, że się miał żenić z Maryśką. O! to sobie dopiero galantą wybrał dziewuchę taki *szwarny* parobek.

Rekruci szeptać między sobą zaczęli, pokazując ją palcami.

— Maryś, dało się słyszyć wołanie. A kiedy nas na chrzciny poprosisz?

Jędrek zęby ścisnął ze złości.

— Pocoś tu przyszła? — spytał dziewczynę. — Biegaj do domu. Na pośmiewisko ludzkieś tu zalazła, czy co? Wstydu za grosz nie masz, paskudnico.

Twarz dziewczyny jak płótno zbielała. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć... Kurcz bolesny uwięził głos w gardle — milczała. Trwało to chwil parę. Pod wpływem nagłej myśli zacisnęła usta, nasunęła chustkę głęboko na oczy, nie spojrzała już na Jędrka, odeszła. Zaczęła biedz szybko, tak szybko, że dech w piersi się jej zapierał. Jak nieprzytomna wpadła do starych Wojciechów, oddała im chłopców i puściła się z powrotem do Rucianej Woli. Minęła dworskie pola, Wronikowską granicę i zatrzymała się dopiero wówczas, gdy droga w las zagłębiać się poczęła.

Stanęła i odwróciła się.

Raz jeszcze chciała pożegnać się ze wszystkiem, co opuszczała na zawsze.

Zimowe słońce rzuciło kilka bladych promieni na Żelisławskie jezioro, brylantowemi iskierkami rozpaliło ośnieżone korony drzew na kępie stojących i prześliznęło się po wysokim kominie i słomianym dachu Błażejowej chaty.

Dziewczyna odróżniła ją z łatwością od kilkudziesięciu innych. Tam przecież, pod

I jaka to zasada nadaje erudycyi niemieckiej taką jednolitość? Miłość dla Niemiec. My we Francyi, mówi dziś już nieżyjący przewodnik nasz, twierdzimy, że nauka nie posiada ojczyzny. Niemcy — przeciwnie. „Fałsz to wierutny — pisze jeden z najpotężniejszych historyków niemieckich, von Giesebrecht — twierdzić, jakoby nauka nie miała ojczyzny i istniała po za granicami kraju: nauka nie może być kosmopolityczną, musi być narodową, musi być niemiecką.“ Ojczyznę swoją pojmują niemcy jako „Vaterland,“ jako ziemię swych przodków; kochają więc przeszłość, a przedewszystkiem ją szanują. Mówią o niej, jak o rzeczy świętej, identycznej z niemiecką. Tacyt — to dla nich Biblia, którą komentują, ale nie poddają pod rozbiór sceptyczny. Podziwiają nawet barbarzyństwo germańskie. Dzikie i grube legendy Nibelungów roztkliwiają ich.

Uczoność francuska jest liberalną, niemiecka — patryotyczną. Nie znaczy to jednak, ażeby wszyscy byli konserwatystami. I oni również należą do obozu liberałów. I oni „nienawidzą“ większość instytucyj dawnego ustroju — tylko, że zamiast swoich, wylewają tę żółć nienawiści na obce. Jeśli występują przeciwko feodalizmowi — mówią tylko o francuskim. Jeśli napadają na absolutyzm — widzą tylko Ludwika XIV. Kiedy mowa o nietolerancyi — pamiętają jedynie odwołanie edyktu Nantejskiego. Nie mogą zapomnieć żadnemu narodowi, że kiedykolwiek namiętnie oddawał się rozrywkom wojennym. Oburzenie wywołuje w nich każdy zdobywca, o ile nie jest... niemcem. Giesebrecht bez żadnego skrupułu wyznaje, że epoką, którą najbardziej ukochał w dziejach, jest ta, „kiedy naród niemiecki, silny jednością swoją pod berłem cesarzów, osiągnął najwyższy stopień potęgi, kiedy *rozkazywał innym narodom*, kiedy człowiek rasy niemieckiej znaczył najwięcej w świecie“ *). Stąd też owa miłość Giesebrechta dla wieków średnich, kiedy armie niemieckie zalewały peryodycznie krwią niwy francuskie, kiedy niosły pożogę do klasycznej Italii. Nie widzi on nic piękniejszego nad obraz cesarza niemieckiego w obozie na wzgórzach Montmartre, albo nad inny obraz innego znowu cesarza niemieckiego, który zdobywa sobie w Rzymie koronę cesarską po trupach czterech tysięcy rzymian, poległych na moście św. Anioła. Ale nic może powstrzymać zgrozy swego „uczciwego niemieckiego sumienia“ na wspomnienie, że Henryk II, Richelieu, Ludwik XIV, fortyfikując Metz i Strasburg, starali się tamę położyć najazdom niemieckim. Nie może darować, że znalazł się śmiałek, który im wzbronił „rozkazywania innym narodom.“ Toć to „mania bellicosa“ bronić się przeciwko nim; toć znaczy być „zdobywcą“ — wzbraniając im „zdobywać.“

Nauka nie jest w Niemczech celem sama przez się; jest środkiem tylko. Po za nauką niemiec widzi swą ojczyznę; uczeni są tam patryotami. Interes niemiecki — oto cel wszystkiej, nieznającej zmęczenia pracy. Niemiec jest przedewszystkiem człowiekiem praktycznym; chce, ażeby erudycya jego przydała się na coś, ażeby umiała bić, zwyciężać. Przedewszystkiem zaś należy, ażeby nauka postępowała zgodnie z kierunkiem narodowych ambicyj, zgodnie z pożądaniami i „nienawiścią“ narodu. Jeśli naród pożąda Alzacyi i Lotaryngii, to nauka musi uważać je za niemieckie ziemie na dwadzieścia lat przed faktycznem zdobyciem ich przez oręż niemiecki. Zanim zawładną Niemcy Holandyą, nauka ich dowodzi już dzisiaj, że holendrzy — to niemcy.

Podziwiając siebie, trudno jest podziwiać innych. Zrozumiemy więc łatwo, że uczeni niemieccy surowo sądzą cudzoziemców. Trzeba im oddać sprawiedliwość, że umieją segregować narody. „Ich krytyka historyczna jest dość jasnowidzącą, ażeby oburzać się na tych jedynie, którzy byli wrogami Niemiec. W starożytności chętnie darzą pochwałami hellenów, jakkolwiek spieszą dodać, że „grecy nigdy nie posiadali poczucia poczyi w tak wysokim stopniu, jak rasa niemiecka.“ Mniej już wspaniałomyślni są względem Rzymu, który opóźnił najazd hord germańskich i w wiekach średnich odważył się stawić czoło bezbożnym cesarzom. Dzisiaj chwalą holendrów i anglików, uznając ich jako swoich i napadając przytem na tych tylko królów angielskich, którzy byli w sojuszu z Francyą. Szczególnie jednak niełaskawi są na Francyę i na Polskę. Tutaj erudycya ich jest bezlitosną. Dowodzą czarno na białem, że oba te narody powinny być nienawidzone, że ich charakter narodowy był zawsze tylko ambicyą, lekkomyślnością, sprośnością obyczajów, brakiem karności, zepsuciem, że od wieków były uosobieniem kłótni, wiarołomstwa, rozpusty, że istnienie ich jest niebezpieczeństwem dla europejskiego rozwoju i moralności, że, słowem, jeden z nich zasłużył na śmierć polityczną, drugi zasługuje na nią obecnie, rzecz pewna na korzyść orła pruskiego.“ (Tamże, s. 247—8).

Tak uprawiana historya jest jednocześnie orężem w rękach rządu i poprostu siłą wojenną, na którą liczyć można i na której polegać należy. Wewnątrz państwa nakazuje milczenie wszystkim partyom politycznym, niszczy wszelką opozycyę, stwarza centralizacyę moralną równie silną, jak administracyjna.

Rozumie się, że były czasy inne dawniej, bardzo dawno... I nauka historyczna niemiecka przechodziła kiedyś romantyzm, czas uniesień, zachwytów miłosnych sięgających, jak zwykle, dalej, niż idą kopce graniczne ziemi ojczystej. Były to czasy, kiedy Schlosser, Raumer, Rotteck umieli cenić prawdziwą cnotę i bohaterstwo istotne, kiedy wypowiadano głośno oburzenie sumienia „ludzkiego“ (dzisiaj mówi się niemieckiego) na deptanie prawd etycznych i zasad. W jaki sposób rozwijała się taka „naturalna“ ewolucya w sumieniu uczonego niemieckiego, staraliśmy się wykazać poprzednio, w niewielkiej wzmiance o Jheringu, ściśle jednak myślą przewodnią związanej z artykułem dzisiejszym. Czytelnik więc uwolni nas chyba łaskawie od opowiadania tych smutnych faktów. Zaznaczymy tylko, że Raumer, który był może „ostatnim mohikaninem“ takiej historiografii, któremu niemcy zarzucali zawsze „chłodny objektywizm,“ „niechęć do entuzyazmowania czytelników,“ który mimo to potrafił aż do ostatniej chwili utrzymać się na wysokości wysokiego powołania historyka i człowieka. Przypomnimy tylko jego wizytę w Poznaniu, na krótko przed śmiercią. I on jednak był już „pruskim historykiem państwowym“, a to nakłada już pewne, dosyć delikatnej natury zobowiązania. I tutaj, być może, szukać należy przyczyny wstrzymywania się od sądu i zadawalania się tylko artystycznie rzeźbionem, plastycznem przedstawieniem faktu historycznego. Jarochowski nazywa to „w metodzie historyografii niemieckiej pochyłością, która przecież ze względu na kroczącego po niej mistrza nie przedstawiała się ze strony zbyt ujemnej.“ Zamiast etyki — estetyka.

Można stopniowo, krok za krokiem wykazać na przykładach poważnych tę zmianę w „metodzie,“ w przekonaniach i sumieniu uczonych niemieckich. Posłuchaj-

o Treitschkem w *Ateneum*, 1888, t. I, z Lavisse'a *Problèmes de l'enseignement national* — czerpiemy większą część faktów, przytoczonych w artykule dzisiejszym. Inne źródła wskazane będą w dalszym ciągu pracy.

*) We włoskiej poezyi średniowiecznej nazywało się to „furor tedesco.“

---

tym dachem słomianym, urodziła się, wzrosła, tam poznała Jędrka, gdy od tatula gniadą klacz kupował, tam matuś tuliła ją do serca i cieszyła się, jak wydawszy za mąż swoje jagódki, wnukami radować się będzie. I oto Bóg ich tak srodze pokarał. I za co?.. Jeden zły człowiek do chałupy wszedł i zburzył wszystko.

Dziewczyna trząść się zaczęła, jak w febrze. Zęby z głośnym stukiem uderzały jedne o drugie, po twarzy ciekły łzy, ciężkie, krwawe, łzy opłakujące wszystko, co kochała i co utraciła na zawsze.

— Gdzie ja pójdę, kaj się obrócę... sama jedna na świecie, nieszczęśliwa! Już mi nie żyć z tym wstydem — łkała żałośnie — nie iść między ludzi! Po co bym miała po próżnicy gębę psować, mówiąc, com niewinna, kiedy nikt mi nie uwierzy!..

Ocierała z łez oczy i wytężała je, jakby wbić sobie chciała w pamięć i to jezioro, i kępę, i to chatę własną.

Środkiem przez pola biegło ku niej czarne jakieś stworzenie. Wzrok dziewczyny obojętnie z początku zatrzymał się na niem, potem coś, jakby radość w tych spłakanych zajaśniało oczach.

— Morus, marnik... szepnęła. Toć on za mną tak goni. Chodź, chodź... wołała.

Psisko z wywieszonym językiem do nóg jej przypadło. Zziajane, zmęczone, podniosło ku niej mądre, bure ślepie i nie potrzebowało słów, aby zrozumiała dziewczyna, że to psie serce wiernem jej zostało i nie zapomniało, jak niegdyś nakarmiła głodnego.

Złagodziło to jej ból sieroctwa i znośniejszą uczyniło chwilę pożegnania.

— Chodź Morus — rzekła — lżej nam razem będzie. Pogłaskała psa, który zwolna powlókł się za nią.

* * *

W Ruciańej Woli spotkała ją burza. Tylko nie ta, co grzmotem, błyskawicą i deszczem spada na ziemię, ale stokroć gorsza — burza kułaków, słów obelżywych i kłujących docinków.

Krzyczała gospodyni, krzyczała pokojówka, szturgali chłopaki, którzy za nieobecną robić musieli, krzyczała wreszcie dziedziczka za samowolne przedłużenie udzielonego pozwolenia. Maryśka stała jak ogłuszona, nie usprawiedliwiała się nawet. Ocknęła się wtedy dopiero, gdy gospodyni zostawiwszy ślad pięciu palców na policzku biednej dziewczyny, kazała jej zbierać manatki i wynosić się co prędzej z dworu.

— Won mi, ty ladacznico — krzyczała zaperzona. Włóczyć ci się zachciało, to się włócz, ale w porządnym dworze miejsca nie masz. Won, obieżyświecie i to natychmiast! Już ja wiem, coś ty za jedna!

Maryśka bez słowa odpowiedzi odwróciła się i wyszła. W komórce za kredensem miała swoje rzeczy. Zwinęła szybko węzełek i głodna, zmęczona puściła się znów w drogę. Za bramą odetchnęła swobodniej i otarła spocone czoło. W myślach jej powstał chaos.

Za co ją gospodyni w pysk trzasnęła?.. Czy za to, że jej matula umarli i musiała być przecie na pochówku i w chałupie jakiś ład zrobić i chłopaków oddać?.. Cóż ona winna? Szturgali ją, popychali, krzyczeli, że latawica, że za chłopami goni. A toć przecie wszystko nieprawda. O rety, rety! A to wszystko bez tego Walka rozbójnika ona cierpi teraz...

— Bodaj go Bóg pokarał!

Tentent galopującego konia ozwał się blizko. Dziewczyna z drogi się usunęła.

Pan Fonsio wracał z polowania. Nie wiadomo: na kuropatwy, czy zające, lub na inną ponętniejszą zwierzynę, której upolować nie potrafił.

Zły był. Klątwa jakaś wisiała mu na ustach i miał już poczęstować nią dziew-

my K. Jarochowskiego. „Najcharakterystyczniejszym wyrazem owej dążności miał się stać profesor Jan Droysen w „Historyi polityki pruskiej.“ Był to człowiek niewątpliwie obfitego zasobu nauki, korzystał z plonu przystępnych sobie archiwów pruskich, ale zużył je w kierunku tak jednostronnym, tak bezmyślnie często i niepamiętnie idealizującym politykę pruską tam i wtedy nawet, gdzie i kiedy wchodziła w wyraźny zatarg z interesem niemieckim, że prawda historyczna traciła najzupełniej wszelkie swe prawa.“ Mimo to Droysen był mężem wysokiej nauki i mógł budzić poważanie w swym przeciwniku. I on był „historyografem państwa.“ Po nim tytuł ten otrzymał Ranke — po Rankem znakomity badacz średniowiecza niemieckiego Waitz. Pomarli oni jeden za drugim a opróżnione miejsce „zdobył“ Treitschke. Publicysta, bądź co bądź, zdolny rzucił — jak się to często zdarza — zawód, do którego stworzyła go natura i wolał szukać prawdziwej „karyery“ gdzieindziej. Jako historyk, Treitschke „publicystycznym węchem“ wiedziony przeczuł znakomicie, komu na usługę oddać swą wiedzę, swe ideały, pragnienia najgorętsze, swe sumienie. Często już dawniej w „Essays“ powtarzał, że „pojęcie prawdy jest zawsze subjektywne.“ Zresztą przecie obowiązkiem jest służyć tym, do których należy przyszłość— Prusom. W tym samym czasie, nie głosząc jeszcze swej dla nich „miłości“, Treitschke rozpoczął przedewszystkiem od zaznaczenia dwu „zasadniczych, zupełnie naturalnych“ nienawiści: dla ojczyzny swej, Saksonii i dla Austryi. W *Preussische Jahrbücher*, czasopiśmie, które rozpoczął w tym czasie wydawać do współki z narodowo-liberalnym publicystą Wehrenpfennigiem, domagał się zagłady Saksonii tak namiętnie, że ojciec jego, generał saski, zmuszony był publicznie zerwać z nim wszelkie stosunki. Austryi nienawidził Treitschke równie silnie. „Nie należy się łączyć z politycznym trupem!“—wołał (Mit einem politischen Cadaver verbündet man sich nicht!). Zaznaczyć należy, że nie przeszkodziło mu to zupełnie dzisiaj wobec przymierza prusko-austryackiego czcić Austryi pobożnie i szczerze. Królewski rząd w Berlinie poznał się nader szybko na młodym proroku wielkości pruskiej. Katedra w Heildelbergu, a następnie w Berlinie i urząd „historyografa puskiego“ — były nagrodami za przeszłe i przyszłe usługi. Na stanowisku agenta polityki pruskiej wytrwał przez długie lata: myśl historyka biegła zawsze wąską krętą ścieżyną obok gościńca polityki Bismarka. Nie potrzebował się też liczyć z niczem: dzisiaj oskarżał profesorów ekonomii politycznej za ich wrzekomy socyalizm, jutro niecił zawiści rasowe i bronił antisemityzmu. Wreszcie jako koronę całej swej działalności, zaczął od r. 1879 wydawać: *Dzieje Niemiec w XIX stuleciu*, dzieło wielkie, obliczone początkowo na pięć tomów. Zaznaczymy tylko stanowisko autora. „Kto dzisiaj — według niego — za pomocą obrazu epoki XVII i XVIII ww. chce *uświadomić i zrozumieć teraźniejszość*, powinien wyprowadzić na pierwszy plan wewnętrzny rozwój państwa pruskiego.“ Z tego oto stanowiska przekrzywienia, jak mówi Jarochowski, dziejowej prawdy, faktów, fizyonomii wypadków, ludzi, akcyi politycznych w interesie ideałów bardzo nieidealnej wartości“ — traktowane są dzieje wszechwładztwa Prus, łżony Napoleon (*ein Gauner* — oszust i złodziej), wyklęci Heine i Boerne za ich „liberalizm semicki“ i za to mianowicie, że zatruli ducha niemieckiego pożądaniem wolności i francuzomanią wogóle.

(D. n.).

S. Posner.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Berlin, 10 lutego.

(Herman Bahr).

Być może z nikogo tyle nie szydzono w czasopismach i czasopisemkach, w kawiarniach i przy stołach z kuflami piwa, jak z Hermana Bahra. „Każdy *scribifax* maluczki, któremu jakieś zrządzenie losu włożyło do ręki pióro dziennikarskie, ośmielał się z równą nieświadomością, jak bezczelnością obwieszczać łatwowiernym czytelnikom, że owa osobistość jest skończonym krzykaczem, pozującym jedynie i czyniącym hałas.“ Ustęp ten, wyjęty z pracy pewnego krytyka, osobistego przyjaciela Bahra, a człowieka, jeśli mnie wrażenie osobiste nie zawodzi, pokrewnej natury i w sądach swoich zanadto kierującego się osobistemi sympatyami, posiada tę zaletę, iż odrazu poznajamia nas z odmiennemi zdaniami, krążącemi o tym pisarzu. Zaiste trudno spotkać bardziej różnorodne poglądy. Jedni w całem życiu Bahra widzą jedynie drgania organizmu histerycznego, który miota się i wścieka w literaturze — bez żadnej siły i oryginalności twórczej, swoje upodobania artystyczne zmienia jak rozkapryszona elegantka rękawiczki, a posiada tylko jedną żądzę: zmuszania ludzi do uwagi, chociażby szyderczej. Wobec innych uchodzi on za bardzo wielką siłę artystyczną, której najgorszym występkiem jest to, że posiada talent istotny, a co więcej odwagę występowania przeciwko szablonowi klik estetycznych i szukania wciąż nowych dróg, oraz zrywania z dawnymi przyjaciołmi i koteryami.

Pisarz ten bezwarunkowo przedstawia osobistość nader interesującą, jako wyśmienity okaz tegoczesnego świata artystycznego — tego samego, który zrodził symbolistów francuskich oraz impresyonizm barw w sztuce malarskiej. Niektórzy usiłują wytłomaczyć jego charakter tem, że jest on dzieckiem życia austryackiego. Istotnie, każdy poddany pruski, nawet jeżeli przywdzieje niekiedy skórę jednego z członków partyi społeczno-demokratycznej, rzadko ściera z siebie warstwy uczuciowo-emocyonalne, które na nim osadza atmosfera formalizmu biurokratycznego i sztywności koszarowej. W Austryi nie działa ona tak silnie. Jednak nie w wolniejszym powiewie tamtejszego powietrza należy szukać klucza do kapryśnej i niestatecznej natury Bahra. Przyznam się, że gdyby mi kazano wyszukać jakąś postać wśród tegoczesnej twórczości artystycznej, któraby była wcieleniem owych temperamentów, jakie wytworzył nowoczesny zgiełk gorączkowy miast wielkich — temperamentów, lubujących się nie w zdrowem zaspokojeniu miłości, ale w różnych dodatkach i wstępach do niej, tworzących nie dla rozkoszy tworzenia, ale ponieważ łakną ciekawych gawiedzi i widoku ust rozwartych, wybrałbym bez wahania Bahra. Kąpiąc się w rozmowach z „towarzyszami“ pośród demokracyi społecznej i szukając rozrywek w knajpach różnych kółek i klubów, goniąc za różnorodnością użycia na bruku bulwarów paryskich i salonów wiedeńskich, pozostał on zawsze samym sobą, tj. istotą, łaknącą wciąż nowych wrażeń, wierzącą w nie jako w ewangelię dzisiaj i odrzucającą je jutro, skłonną w danej chwili do poświęcenia formy dla myśli, aby niebawem poświęcić treść wszelką dla popisania się

---

czynę, gdy się odwróciła i poznał Maryśkę. Wnet konia zatrzymał.

— A gdzie to idziesz z węzełkiem?—pyta. — Słyszałem, żeś kilka dni bez pozwolenia hulała gdzieś po świecie. Za chłopcami podobno?.. Taka to twoja cnota? A mnie toś się tknąć nie dała, pamiętasz?

Milczała. Co z nim gadać. Niech ino przejedzie, żeby przejść mogła.

Ale pan Fonsio nie ustępował tak łatwo. Zeskoczył z konia i podszedł do dziewczyny.

— Czemu nic nie gadasz? — pyta, głaszcząc ją po twarzy. Gdzieżto idziesz pod wieczór? A może ty na mnie czekała, co? Twarda z ciebie dziewucha. Tylem razy cię prosił, żebyś przyszła do mnie posłużyć, nie chciałaś... Byłbym ci korale kupił i chustkę jedwabną... A ładnie by ci było w koralach, prawda?

Objął ją w pół i chciał pocałować. Odepchnęła go ze wstrętem.

— Idź pan do djabła! — krzyknęła rozgniewana. A nie dotykaj się mnie, bo cię tak schwycę zębami, że aż ci krew pocieknie. Psie dusze i pany takie! Wstydu za grosz nie mają, sumienia nie mają... Pyta, kaj idę... W świat idę, bo mnie dzieciuszka wygnali, jeść nie dali, na noc ję wypędzili niby psa. Ostajta z djabłem marności! — pogroziła ręką w stronę dworu. Boga wam nie trza, pogany... Ostajta z djabłem!..

Skoczyła przez rów i jak wicher pognała w pole.

Morus biegł za nią. W tem rozległ się strzał... Biedny psiak przewrócił się w bruzdę. Maryśka jak szalona przypadła do niego. Pies chciał się podnieść, ale strzał zręczna snać skierowała ręka. Zaskomlał żałośnie, polizał językiem pochyloną nad sobą twarz Maryśki, rozdzierająco smutne burych oczów wejrzenie utkwił w jej wzroku, drgnął całem ciałem, krwawa piana z gęby mu pociekła... już nie żył.

Dziewczyna podniosła się bez łzy, bez jęku. Pogłaskała go... głaskała długo, pieszczotliwie, najczulsze dając mu nazwy, pochyliła się wreszcie i pocałowała.

Z suchych jej źrenic spadła łza, jedna tylko wielka łza, a wraz z nią pękła struna jakaś w sercu dziewczyny z sinych ust straszne wybiegło przekleństwo!..

* * *

Noc była.

Niebo, zaciągnięte chmurami, niby kirem oblekło ziemię suchą, gorącą, popękaną od słonecznych promieni, nieodwilżoną deszczem od kilku tygodni. Czuć było burzę, zbliżającą się powoli na czarnych skrzydłach chmur, dającą znać o sobie dalekim, jakby podziemnym hukiem.

Coś kotłowało się tam w niebiosach. Ścierały się jakieś wojownicze potęgi... Grzmot zbliżał się coraz bardziej, oślepiające światło błyskawic towarzyszyło mu. Jak ogniste węże zapalały się one wśród chmur czarnych, skłębionych jak morskie bałwany, zapalały się i gasły, a ciemność pozostawiały po sobie większą jeszcze.

Przez łąkę ku jezioru mknęła jakaś postać tak szybko, jakby ją paliła sucha trawa, którą deptały bose jej stopy. Biegła w kierunku kępy owej, co się na łące rozsiadła i na tle czarnego nieba rysowała się w oddali, sama czarna, tajemnicza...

Wtem, jak zwiastun złej wieści, wicher zaszumiał złowrogo. Przeleciał przez pole, zaszeleścił trawą suchą na łące i wpadł na kępę. Siadł na wierzchołkach drzew, zatrząsł potężnymi konarami, strącił zeschłe liście i poleciał na jezioro. Cienne nurty musnął niby lekko, a jednak zburzył wodne odmęty i spokojne, martwe prawie jezioro zakotłowało się, zakipiało. Bałwany rozpoczęły dzikie jakieś pląsy.

znajomością żargonu brukowego, w którym splotły się dowcipy półświatka, mowa kryminalistów i wykrzykniki heter. Przeszłość i teraźniejszość nie wiążą się u Bahra pomiędzy sobą, ale każda epoka twórczości stanowi coś odrębnego, całem swojem jestestwem wrogiego dążnościom i marzeniom wczorajszym. *Kulturgigerl* — tak ktoś go ochrzcił.

Przyjrzyjmy się jego działalności literackiej. Jako szesnastoletniego wyrostka widzimy go przed laty dziesięciu w seminaryum ekonomicznem znanego A. Wagnera, gdzie zdobywa uczucia i poglądy, których rozsadnikiem jest ta „szkoła,“ mianowicie nienawiść do plutokracyi żydowskiej i ideał monarchii społeczno-chrześciańskej, będącej dalszem ogniwem gabinetowej idei hohenzollerskiej. Ten okres hypnozy antisemickiej trwa bardzo krótko. Owczesna epoka wyuzdanej samowoli Bismarka była również chwilą nader silnego ruchu opozycyjnego, do którego młodzież mieszczańska garnęła się masowo, aby niebawem dać początek rokoszowi literatów, „niemcom najmłodszym“ i „młodym,“ z partyi „niezależnej indywidualistów.“ Fala ta unosi też wrażliwego Bahra, który z wielbiciela demagogii biurokratyczno-antisemickiej staje się krańcowym demokratą, marzącym o przewróceniu społeczeństwa do góry nogami. W ośmnastym roku życia pisze odpowiedź na znany pamflet Schäfflego, a rzecz ta, mimo wielu stron słabych, stoi wyżej, niż broszura wyszkolonego mandaryna nauki ekonomicznej. Atoli w Bahrze nurtuje coś innego — pociąg ku twórczości artystycznej, która nie pozwala mu zatonąć w wiedzy i pcha go na inne pole. Hypnotyzerem w tym razie był Ibsen, pod którego wpływem zrodziły się „Nowi ludzie,“ wielce przypominający *Widma* poety skandynawskiego. Dźwięczy tu już akord rozbratu z rolą partyjnego towarzysza i chęć rzucenia się w morze użycia indywidualnego — musimy bowiem zaznaczyć, że wszystkie utwory Bahra są w gruncie rzeczy nawskroś natury autobiograficznej, spowiedzią z własnych celów i pożądań. „Nowi ludzie“ miały dowieść słuszności twierdzenia, że pod osłoną szumnych frazesów nawet u osób „wyzwolonych“ drgają popędy wyszydzane. Widzimy taką parę wolnych duchów, on — zgoła swobodny od oków tradycyjnej etyki, ona — tylko rozumująca. Bohaterzy żyją w małżeństwie dzikiem, co wciąż wywołuje rumieniec wstydu na twarzy Anny i przyprawia ojca jej o śmierć. Zastrzegli sobie, że związek między nimi ustanie z chwilą, kiedy uczucie wzajemne zniknie. Jerzy spotyka na ulicy dziewczynę upadłą, ocala ją od swawoli podpitych filarów społeczeństwa i daje przytułek w swoim domu. Zwolna pomiędzy nim a dawną nierządnicą, która w nowem otoczeniu szlachetnieje, choć nigdy nie wyzbywa się naleciałości dawnego trybu życia, wyrasta uczucie silniejsze, wzmacniane przez to, że Jadwiga umie odnaleźć w duszy bohatera zamierzchłe upodobania z czasów dzieciństwa ku obrzędom rodzinno-religijnym. Anna, miotana zazdrością, zapomina o głoszonych zasadach, a namiętność posuwa tak daleko, iż z rewolwerem w ręku gotowa bronić rzekomych praw swoich do mężczyzny. Ostatecznie zakochana para wyjeżdża do Szwajcaryi, gdzie ukołysany szczęściem osobistem Jerzy zapomina o utworze swoim „W służbie ludzkości“ i pije z kielicha miłości. Trwa to jednak niedługo. Gdzieś, podczas wycieczki, spotyka jednego ze swoich wielbicieli. Zamiast dwojga mamy troje pospołu żyjących, a później znowu dwoje, bo główny bohater zostaje wyrugowywany. Atoli jest on istotnym nowym człowiekiem, uznaje bowiem, że powinien się usunąć, a ponieważ niema siły przenieść rozstania, odbiera sobie życie. Utwór ten jest kazaniem dramatycznem. Za swoim bohaterem, któremu w uściskach Anny każe zapomnieć o rojeniach społecznych, podąża niebawem i sam artysta. Dziwne wpomnienie pozostało z owych czasów u demokracyi społecznej i u Bahra. Przyjaciele tego ostatniego, owe ćmy literackie, które przez czas pewien bujały dokoła zarzewia społeczno-demokratycznego, z przekąsem i ironią źle ukrywaną odzywają się o owych chwilach, kiedy „wśród dymu cygar i wyziewów alkoholu w otoczeniu knajpowem rozwiązywał zagadnienia tegoczesne w godzinie duchów.“ Druga strona zachowuje się bezstronniej, mówiąc, że sąd o Bahrze, jako artyście, należy do artystów; o towarzyszu broni zaś nadmienia, że był on z liczby owych Katylin mieszczańskiego pochodzenia, którzy w upojeniu młodzieńczo-histerycznem sądzili, że dość im zejść z wyżyn swego stanowiska społecznego i kilka wieczorów spędzić wśród spracowanych tłumów, ażeby w nagrodę za taką ofiarę wystawiono im ołtarze i ogłoszono za proroków. Bądź co bądź, w trzy lata po odpowiedzi Schäfflemu z pod pióra Bahra wyszedł pamflet-dramat przeciwko niedawnym jeszcze „towarzyszom.“ Zrywa on z siebie stanowczo szatę wczorajszą i przywdziewa inną — wroga ludu, poświęcając utwór swój Ibsenowi. Bohaterem „Wielkiego grzechu“ jest niejaki Heyden, umysł niby nawskroś samodzielny, ale naiwny, dający się złapać w sieci jednej z partyj opozycyjnych. Pełen zapału, pogrąża się w życiu politycznem, a najmniejsza sprawa obchodzi go mocno. Na jednem zgromadzeniu ma mowę namiętną, w której bez ogródki wypowiada ostateczne cele i drogi swojego stronnictwa, lecz ku wielkiemu zdziwieniu nie doznaje poparcia, co więcej, spotyka wrogie usposobienia u współtowarzyszów. To go jątrzy. Mowa z przeciwrządowej zamienia się na filipikę przeciwko opozycyi, o której wypowiada zdanie, że jest po tysiąc razy gorszą, obłudniejszą i niebezpieczniejszą, aniżeli najbrutalniejsza władza. A kiedy ktoś mu przypomina, że obraża on swojem przemówieniem lud, Heyden ogłasza niedawne swoje bożyszcze za podłą gawiedź, podobnie tchórzliwe, jak i sprzedajni wodzowie, za hałasującą ciżbę obszarpańców ulicznych, chowających się w dziury, skoro zaświśnie szpicruta. Ostatecznie dostaje się do więzienia. Kiedy przybywa po odsiedzenie kary, żona odwraca się odeń jako od skazańca; wtedy on dusi ją własnemi rękami. Gdy w ostatnim akcie dawni współtowarzysze polityczni urządzają orgię z kobietami, wpada Heyden, który zbiegł z domu waryatów. Przed bawiącym się tłumem wyznaje swoje grzechy, a raczej jeden wielki, że chciał walczyć za prawdę... Wraz z tym utworem kończy się w życiu Bahra okres *Weltsehmerzu* społecznego— przemógł on go zupełnie i nazawsze, a tak zupełnie, że w utworach późniejszych nawet na myśl mu nie przyjdzie rzucić kamieniem w kierunku przeszłości i wspomnieć o niej. Z widowni swoich studyów i rojeń społecznych ucieka on na łono zgiełku paryskiego, gdzie w atmosferze bulwarów pisze krytyki i obwieszcza dalsze swoje — *Ueberwindungen*, kończące się na zerwaniu z naturalizmem i pewnem kokietowaniu z symbolistami i dekadentami. Zasługuje na uwagę „Dobra szkoła,“ utwór, który powstał z wrażeń bruku paryskiego. Jest to biografia malarza niemieckiego, wyrzuconego na bulwary nadsekwańskie, który marzy o stworzeniu nowej epoki w zakresie swojej sztuki i uważa siebie za wybrańca. Atoli kiedy poszukuje natchnienia we włóczędze po Paryżu, poznaje jakąś dziewczynę. Pożycie z nią— opis nienasyconej orgii cielesnej we dwoje, podniecania przytępionych nadużyciem miłosnem zmysłów i wreszcie ostatecznego znudzenia — stanowi niemal główną treść

Spiesząca przez łąkę kobieta dobiegła kępy i nad brzeg jeziora wypadła. Stanęła. Zawiniątko jakieś położyła na trawie... Błyskawica chmurę rozdarła... światło oblało stojącą u brzegu. Czarne włosy rozwiane igrały z wiatrem, ręce szarpały koszulę na piersiach zapiętą, oczy patrzyły dziko: to na niebo czarne, to na mętną toń jeziora. Wśród szumu wichru ozwało się kwilenie dzieciny, drżące, niepewne... Kwilenie owo dobywało się z białej płachty, która na brzegu leżała. Kobieta zatrzęsła się, opuściła rękę, jakby podjąć chciała płachtę, ogrzać dziecinę, utulić. Niewidzialna siła paraliżowała ją.

— Jezu Nazareński — szepnęła — ratuj mnie!

Spojrzała w wodę.

— Brrr... Jak tam straszno... jak czarno! Jezusieczku mój, jak straszno. Nie, nie... nie chcę, nie chcę... czemu go mam topić... takie maluśkie... takie śliczności. Robactwo by temu oczki wyżarło, mułu i zielska w buzinkę naszło... Nie, nie, nie chcę — szeptała wciąż jak obłąkana.

Grzmot huczał już teraz nieprzerwanie, widno było od nieustającego światła błyskawic.

Kobieta wyprostowała się. Odrzuciła czarne włosy, które jej wicher na oczy nasuwał, a przy tem poruszeniu ręka jej natrafiła miejsce puste, tam, gdzie dawniej miała ucho — kształtne, różowe. Hydra wspomnień okropnych wżarła się w jej mózg, obudziła najgorsze instynkty.

— Bodaj cię była ziemia nie nosiła, przeklętniku! — krzyknęła, grożąc pięścią. Bodaj cię była suka urodziła, psie podły!.. Szczezła, zmarniała moja dola przez ciebie!

Pochyliła się, podjęła z ziemi pacholę i w wodę weszła. Miała ją już prawie do pasa. Przycisnęła niemowlę do piersi... Instynkt matki raz jeszcze zbudził się w sercu.

— Żebyś ty było Jędrkowe... o hołubiłaby ja cię... krwi bym z serca utoczyła. I kosy by obciąć dała... Wstyd by co dnia piła, sromotę jadła...

Duże krople łez spadały jej po twarzy i wysuszały żar na policzkach płonących. Rzewna tęsknota przyszła do niej na fali wspomnień o tym miłym, ukochanym, co choć dla niej stracony na wieki, dniem i nocą stoi jej w myśli i patrzy na nią niebieskiemi oczami, tak niebieskiemi, jak te drobne kwiatuszki, co na wilgotnych łąkach rosną.

— O Jędrek... Jędrek — szeptała.

Błyskawica zakreśliła zygzak na ciemnem niebie, a w świetle jej blada twarzyczka dziewczyny wyjrzała z płachty i dwoje oczów czarnych, osadzonych głęboko, spojrzało na nią.

Dziewczyna rzuciła się jak wściekła.

— Walka oczy! — krzyknęła. Walka oczy, przeklęte, pohane!.. Giń marności!.. giń... przepadnij!.. Na ludzką-ś krzywdę zrodzone, jak ojciec — na ludzkie utrapienie!.. Zmarnij, przepadnij, jak moja dola przepadła!

Podniosła ręce w górę... wściekła jak szatan, pijana zemstą, chciwa zbrodni...

Stało się!..

Biała płachta zakołysała się na fali, słabe kwilenie dziecka zmieszało się z wyciem wichru i ucichło. Płachta kołysała się jeszcze chwil kilka, zaczepiona o szerokie liście wodnych lilij... Błysnęło... piorun wpadł w jezioro... czarna toń zamknęła się, pochłaniając swoją ofiarę...

(D. n.).

utworu. Ideałów żadnych tu już niema, prócz użycia, a twarz Bahra wygląda z każdej stronicy. Wreszcie dziewczyna, poznawszy miłość, chce sprobować innych dziedzin użycia i idzie na utrzymanie do jakiegoś bogatego murzyna, dawnego zaś kochanka robi swoim *souteneurem*, płacąc mu za kiepskie malowidła sumy potężne z kieszeni swego wielbiciela. Bohater nieco zżyma się na to rozwiązanie, wreszcie dochodzi do wniosku, że lepszem jest użycie i pieniądze w teraźniejszości, niż szukanie natchnienia, udawanie cnoty i odmawianie sobie rozkoszy. Utwór ten — nawet swoją nieudatnością — daje wyborny obraz owego zdechlactwa artystycznego, którego mózgowi natura odmówiła wszelkiej iskry twórczej, a jednak dała żądzę błyszczenia i ambicyę chorobliwą, jak u przysłowiowej żaby, chcącej dorównać wołowi swoją wielkością. Dzisiaj widzimy Bahra w Wiedniu, gdzie, zdaje się, rozpoczyna okres nowego wcielenia. „Herman Bahr — powiada jeden z krytyków-przyjaciół — zawarł wreszcie kompromis—jest to dla mnie rzeczą nieulegającą najmniejszej wątpliwości; poniekąd wyrósł on po nad dalsze doświadczenie i ujrzał granice tego, co może a czego — nie. Ale kompromis ten jest dobrego rodzaju a nadto uczciwy. Albowiem kto tyle wypracował się, kto tak niezmordowanie szukał, jak on, ten jest artystą raz na zawsze.“ Utwory dzisiejsze obracają się dokoła towarzystwa wiedeńskiego, a pojedyncze postacie odznaczają się nieraz niebywałą dotychczas wyrazistością i żywotnością.

Atoli czy te jego przemiany się już skończyły? Świeżo rozmawiałem z kimś, kto zna go osobiście i mniema, że Bahr prawdopodobnie dobija już do lądu, w którym osiędzie stale. Jest te wielkie królestwo mieszczańskiej twórczości artystycznej z chwili obecnej, któremu możnaby dać miano *cochonnerie*. Mauppasant był posępnym tego rodzaju okazem. Bahr będzie innym, ale w każdym razie członkiem tej samej grupy. Nie badam słuszności tego proroctwa.

K. R. Ż.

KIERUNEK MISTERYJNY W DRAMACIE FRANCUSKIM.

M. Boucher, *Noël* (Boże Narodzenie), mesteryum w czterech obrazach. „Théâtre d'Application“ w Paryżu.

Zwyrodnienie dramatu francuskiego, upadek jego nizki i widoczny, od lat kilku już pobudza umysły do przywrócenia scenie Racine'a i Moliére'a dawnego jej blasku, dni sławy. Tryumfy fars, wodewilów i potwornych dramatów *à la* Sardou-A. Dumas, przestał już kusić młodych dramaturgów; partacze, znieważający sztukę, nie sieją już z dawnem powodzeniem zarazy moralnej. Z różnych obozów, pod różnymi znakami wyruszyły przeciw nim nowe zastępy, nowe oddziały bojowników i w ich to rękach bezwątpienia spocznie w przyszłości palma zwycięztwa.

W rozmaitych kierunkach podążają nowe prądy, w przeciwne nieraz strony toczą one swe fale. „Teatr idealistyczny“ Peladona pogrąża się w mistykę, grupa „Art social“ żąda przeniknięcia dramatu myślą społeczną. Grandmougin, Boucher, Blanc, odnowiciele misteryów, wracają do wieków średnich. Jullien, Curel i Becque spieszą naprzód, prowadząc dalej budowę drogi, rzuconej przez Eschylosa i Shakespeare'a. Po stronie jednych stoi tylko obłęd chwilowy, za drugimi przemawia tysiącletni rozwój, ale jednych i drugich zrodziły te same warunki, nienormalne i wykrzywione.

Boucher należy do przedstawicieli kierunku, bezwątpienia niemającego przyszłości, ale zasługującego na uwagę, jako ciekawy fakt patologiczny. Bo trudno inaczej określić dążności misteryjne. Wdzierać się przez całe stulecia na stromą skałę, pokrwawić sobie stopy i dłonie na ostrych kamieniach, ociec krwią i potem, a później z wierzchołka prawie, z wyżyn Shakespeare'a, Schillera i Goethego chcieć rzucić się w jar, z którego się wyszło, w opary misteryów, „cudów“ i „sztuk moralnych,“ to chyba szaleństwo. Wzbić się wysoko pod obłoki, a potem opuścić się na moczar — więc pocóż było wzbijać się?

Dziwnym niesmakiem trąci ów powrót do wieków średnich. Kto tylko zna początki dramatu nowoczesnego, kto mógł przebić się przez mgliste utwory Calderona, przez banalną „Historyę o Fauście“ Marlowe'a, wreszcie przez Lope de Vegę i Corneille'a, dalekich jeszcze od mistrzów dramatu niemieckiego i angielskiego i od geniuszów greckich, ten w części przynajmniej zrozumie, jak śmiesznem jest zwracanie się do form jeszcze pierwotniejszych: do wieku XIII, XIV, XV. Spotykamy bowiem w tej epoce niezręczne, powierzchowne dramatyzowanie tematów biblijnych lub legend świętych, uderzamy co chwila o brak wszelkiego zgłębienia akcyi, psychologii, o mieszaninę najróżnorodniejszych pierwiastków, o szpikowanie rzeczy poważnych błazeństwami, słowem, o wszystko to, co umysł, posiadający mierny nawet smak literacki, razić może. Bo jeśli w chwili, kiedy podziwiam bohaterstwo jakiejś męczennicy, albo myślę o wysłuchanej tyradzie miłosnej, autor wysyła na scenę „osobę komiczną“ i każe jej na temat poprzedniej sceny błaznować lub dawać objaśnienia publiczności, to nie wiem, co innego powiedzieć o nim, jak tylko to, że jest błaznem.

Dowodzi nam tego wystawiane obecnie z pewnem powodzeniem w „Théâtre d'Application“ misteryum „Noël.“ W pierwszym obrazie już autor obraża nasz smak estetyczny. Przedstawiona tu stajenka betleemska, po dwóch stronach sceny umieszczono wół i osła. Niewidzialna orkiestra gra symfonię; gdy się skończyła, między wołem i osłem staje św. Gabryel i —zwraca się do publiczności.

Prosi o cierpliwość i o wzgląd — dla autora, opowiada pokrótce treść misteryum. „Jeśli wam się nie podoba utwór, zachowajcie przynajmniej milczenie. (!) Opracowanie może nieudatne, lecz temat zaczerpnięty z ksiąg świętych.“

Nadmienię, że to zaczerpywanie przypada bardzo do smaku sferom katolickim, i że np. „Kółko studentów katolickich“ (cercle des étudiants catholiques) w szeregu publicznych odczytów poświęciło jeden entuzyastycznemu rozbiorowi utworów Bouchera.

Kończąc swą przemowę do publiczności, archanioł Gabryel udziela bydlątkom daru słowa.

Wół i osieł, odrazu przepełnieni duchem wieszczym, ślubują sobie wieczystą przyjaźń i poczynają rozpływać się nad donioslością zbliżającej się epoki. Osieł zwłaszcza jest rozentuzyazmowany przyszłą chwałą swego rodu; wtem wpada podochocony właściciel stajenki, zaczyna łżyć osła i wołu, rzuca garściami pijane dowcipy. Gdy we drzwiach staje św. Józef, wypędza go, lecz osieł i wół wstawiają się za cieślą i gospodarz — bez najmniejszego uzasadnienia psychologicznego — ustępuje. Józef i Marya wchodzą.

W drugim obrazie gruchają zakochani pastuszkowie. Myrtil i Marjolaina. Flet naśladuje śpiew słowika, pasterka, również wieszczą siłą natchniona, zapowiada narodzenie Mesyasza. Scena trzymana w tonie lichej idyli, nie greckiej Teokryta, lecz rzymskiej Wirgilego lub polskiej Szymonowicza. Upstrzona przytem piosnkami i liryzmem.

Kiedy toczy się rozmowa o małżeństwie i o twardem sercu ojca dziewczyny, niedozwalającego jej na poślubienie Myrtela, zjawia się anioł, wzywa do złożenia podarków Nowonarodzonemu, a przed odejściem swem miękczy serce Farigoula i uzyskuje odeń zezwolenią na zamęście córki. To wplecenie luźnego epizodu w tło legendy jest dość udatnem odwzorowaniem jednej z technicznych nieudatności misteryów wieku piętnastego.

W trzeciem obrazie trzej królowie: indyjski, chaldejski i murzyński spotykają się w okolicy Betleemu, spowiadają się ze swoich przeczuć i tęsknicy filozoficznej i zwracają się do Farigoula z prośbą o wskazanie drogi. Wychodzą, po nich Farigoul zaczyna dowcipkować na temat barw skóry, co kilka słów zwracając się do szanownej publiczności.

Czwarty obraz — hołd. Królowie składają dary, potem aniołowie w pieśni, niewielkim talentem tryskającej, zapowiadają Maryi jasną i piękną śmierć.

Uwidoczniałem tu, o ile to było możebne, rażące strony misteryum. Muszę zaznaczyć jeszcze, że „Noel“ ma ich najmniej, i że inne misterya, jak np. tegoż Bouchera „Tobiasz“ i „Legenda o św. Cecylii“ lub „Chrystus“ Grandmougina zawierają podobnego kwiecia więcej. Trudno tu zaiste powstrzymać się od zdziwienia: jak może umysł artystyczny tak dalece deptać artyzm?

Misterya Bouchera grywane są przez maryonetki, nie jest to jednak ogólnie obowiązującem dla całego kierunku. Armand Silvestre wystawiał swą „Griselides“ w Komedyi francuskiej, w Chrystusie Grandmougina wszystkie role odegrane były również przez artystów. Przyszłości zaś wielkiej nawet sam Boucher w przedmowie do „Tobiasza“ sobie nie wróży. Zapewne.

W. Bugiel.

NOTATKI LITERACKIE.

Rubryka naszych sprawozdań krytycznych nie może wyczerpać wszystkich uwagi godnych objawów życia i pracy piśmienniczej a zwłaszcza drobniejsze z nich musimy całkiem pominąć. Ponieważ zaś nieraz czytelnik rądby o nich wiedzieć, czynimy więc zadość potrzebie, wprowadzając tę rubrykę, która stale takie zgrabki literackie zbierać będzie.

— *Tygodnik ilustrowany* zamieścił, w kilkę numerach opowieść H. Sienkiewicza p. t. „Pójdźmy za nim!“ Krzyk ten wydziera się z ust nagle uleczonej a przedtem chorej rzymianki, którą trapiły dręczące widziadła i która usłyszawszy od Piłata o nauce Chrystusa i będąc obecna ukrzyżowaniu, uczuła kojący balsam w swej duszy. Głównym momentem tej osnowy jest męczeństwo Jezusa. Artysta, pragnący przedstawić najdonioślejszy wypadek w dziejach, musi uznawać w sobie odpowiednią siłę i chcieć ją wytężyć. P. Sienkiewicz, znakomity malarz scen staroszlacheckich, nie posiada takiej siły, a wobec przedmiotów wielkich jak gdyby omdlewa (Podróż po Grecyi). Nadto w obecnym wypadku do braku potęgi słowa dołączył zaniedbanie, olbrzymią postać i wiekopomny fakt oprawiwszy w ramy zwyczajnej gawędy. Powstał z tego utwór słaby i nawet w odniesieniu do uzdolnień autora za słaby. Zaznaczyć jednak należy, że wszelkie wysiłki z jego strony byłyby już dziś niepotrzebnym trudem i zbyt wspaniałomyślną ofiarą: cokolwiek bowiem napisze — chociażby rachunek wydatków w po-

drózy — przez liczną rzeszę bezmyślnych czcicieli nazwane będzie arcydziełem.

— P. F. Hösick, który niedawno na podstawie listów odtworzył w *Ateneum* stosunek miłosny Z. Krasińskiego i pani Bobrowej, obecnie w *Tygodniku ilustrowanym* również na podstawie nieogłoszonych dotąd listów nakreślił dzieje miłości J. Słowackiego do tejże p. Bobrowej. W pierwszym wypadku *on* był sercem rozkapryszonem, niemającem żadnych określonych pragnień i blaskami poetycznych frazesów okrywającem cienie samolubstwa, brzydko ujawnionego przy zerwaniu; *ona* kobietą w swych uczuciach rzetelną, silną i stałą. W drugim — *on* marzycielem, z którego wykluł się Don Juan polujący na łatwą zdobycz i srodze zawiedziony, *ona* — kobietą swoim wspomnieniom wierną. Obaj więc poeci nieidealnie przedstawiają się w tych rolach. Szkoda wielka, że p. H. surowego materyału nie przerobił na wizerunki zarysowane artystycznie, lecz poprzestał na ułożeniu kamyczków cudzysłowowych; szkoda również, że w drugiej pracy użył formy dyalogowej, która w tego rodzaju rzeczach może być właściwa tylko przy wielkiej sztuce pisarskiej.

— Powiedziano, że u nas łatwiej o geniusz, niż o zdrowy rozsądek. Bodaj czy to nie jest prawda. A w takim razie za szczególne wyjątki uznać trzeba dwa rozumne artykuły: jeden w *Kuryerze codziennym*, zbijający niedorzeczne mniemanie, że zbytek w strojach jest potrzebny dla ubogich pracownic (szwaczek), czem usprawiedliwiane bywają wszelkie jego orgie; drugi w *Kuryerze warszawskim* o impresyonizmie w malarstwie, stanowiącym rodzaj choroby artystycznej. Po szeregu uwag, dowodzących znawstwa, autor zadaje Towarzystwu sztuk pięknych i krytyce następujące pytania:

1) Na jakiej zasadzie obrazy bez sensu koloryzowane, nieuwzględniające realnych stosunków barw, zostały uczczone przez komitet Towarzystwa urządzeniem specyalnej wystawy p. Podkowińskiego, t. j zostały uhonorowane w sposób przynależny, jeśli nie mistrzom, to przynajmniej wybitnym lub zasłużonym artystom?

2) Na jakiej zasadzie krytyka (a nawet specyalista p. Piątkowski) wychwala niemożliwe do oglądania prace p. Podkowińskiego, który z ołówkiem i kredą nieźle sobie radzi, ale gdy tylko weźmie się do barw, wówczas wybrnąć z trudności nigdy nie potrafi i uraczy nas nowym światem na fioletowo i pomarańczowo i tańcem szkieletów, niepodobnym ani do kobiet, ani do szkieletów?

3) Na jakiej zasadzie przyznano nagrodę konkursową portretowi damy, niepodobnemu do oryginału i poplamionemu na całej twarzy w karminowo-czerwone centki?

4) Na jakiej zasadzie zdolni i dobrzy artyści nie są w stanie zdobyć się na tyle powagi i odwagi, aby impresyonistyczną rozpustę pohamować w jej niewczesnych zapałach?

5) Na jakiej zasadzie krytyka milczy o młodych talentach: Popowskiego, Ciemniewskiego, Szewczyka i w. in.?

6) Na jakiej zasadzie śmierć istotnego z krwi i kości artysty, jednego z najlepszych, jeśli nie najlepszego polskiego pejzażysty, Malinowskiego, przeszła bez echa, wystaw i wieńców, a natomiast...

7) Dlaczego na wystawę dopuszczono obraz pana Szwojnickiego, malowany najnieudolniej, ohydnie, surowo, bez rysunku, bez kolorytu, obraz wstrętny, niemal pornograficzny w treści?

— *Władysław Koziebrodzki* jeden z laureatów konkursu *Kuryera warsz.* zakończył w tych dniach życie. Nie należał on do wybitnych pisarzów dramatycznych, ale bądź co bądź utwory jego, którymi zasilał scenę, przewyższały nieraz wartością dziesiątki sztuk, przyswajanych z obcego repertuaru. Urodzony roku 1839 w Kołodziejówce, kształcił się w zawodzie technicznym, następnie słuchał wykładów w Sorbonie i na pewien czas zamieszkał w Szwajcaryi. Do wybitniejszych utworów jego należą: *Hrabia Maryan*, *Po ślizkiej drodze*, *Pokusa*, *Miłe złego początki*, *W jesieni*, *Balowe rękawiczki*, *Stryj przyjechał*, *Zazdrośni*, *Reprezentant domu Miller i S-ka*. Wreszcie ostatnia nagrodzona sztuka p. t. *Nauczycielka*.

RZEŹBY KONKURSOWE.

(Dokończenie).

Jak gdyby dla ironii, parę dzieł prawdziwie poważnych nie należy do turnieju. Taki np. płaskorzeźbiony portret Żółkowskiego pod względem energii i szlachetności zrozumienia przewyższa niewątpliwie wszystko, co z nim w tym samym pokoju sąsiaduje. Jest to profil pomnikowy, z wydatną, zdawałoby się, od rzymian zapożyczoną muskulaturą brody i szyi i dobrym wyrazem twarzy. P. Pyrowicz wiedział, co należy zaakcentować w pysznem obliczu wielkiego artysty. Tak samo i portrety dłuta p. Zawiejskiego, który również do wyścigu nie staje, wyróżniają się z pomiędzy różnych pierwocin znamieniem wytrawności, dokładnego rysunku i wykończenia szczegółów. Roboty to — ile ich jest — wybitnie staranne, chciałoby się rzec „urzędowe.“ Żadna z tego pół tuzina fizyognomij nie zdradza w autorze siły, owszem raczej pewną skłonność do nadawania wszystkim czegoś miękkiego lub mdłego w oczach, ale żadna też nie popełnia grzechu niedbalstwa lub powierzchowności. Podobnież i kobieta i żokiej, a zwłaszcza ten ostatni, są studyami, wypracowonemi poważnie i rozumnie, mają wyraz i charakter.

Ale wróćmy do uczestników konkursu. Są między nimi tacy, co nas rozczarowali, gdyż nie usprawiedliwili widoków, opartych na dziełach poprzednich; są też inni, co uważają snadź rzeźbę za muzę mizdrzenia się i kawiarnianych konceptów; są wreszcie — i takich bodaj najwięcej dałoby się naliczyć — co wprost ośmieszają się niemożliwą pretensyonalnością lub nadzwyczajnem wyszukaniem tematów. Chcecie przykładów? Ot pierwszy z brzega „Niewidomy“ p. Braumanównej. Widywaliśmy ładne i dosyć silne głowy jej nazwiskiem opatrzone, ale młodemu ślepcowi trudno przyznać większą zaletę nad to, że doskonale ilustruje przysłowie: chce a nie może. A mianowicie chce on przed publicznością udawać niewidomego i w tej roli wydrwigrosza kto wie czy nie zjednałby artyście nagrody, ale jego mięsiste oczy, gwałtem przymykane, kłamią pozorowi, twarz delikatna, z dobrego domu, jak mówią kumoszki, rysy dobrze odżywionego młodziana tworzą rażący kontrast z koszulą żebraka i ruchem niepewnym ręki. Na rzeźbie tej położyłbym napis: „Ciuciubabka w negliżu.“

Czem mię odpycha „Tancerz“ p. Jacuńskiego, dalibóg nie mogę sobie zdać sprawy; czy tem, że węgier, pokazujący widzowi ogromną podeszwę prawego buta, wzniesioną aż pod pierwsze piętro, jest tak niemile brzydki, czy że sama poza jego trąci karykaturą, a w najlepszym razie przesadą? Prawdopodobnie jednem i drugiem, choć nie można tej pracy odmówić poczucia ruchu i temperamentu. Tak jak znowu zupełnie nieczułym jest na ruch p. Wł. Marcinkowski. Jego „Idylla,“ przedstawiająca głowę młodzieńca, który zbliża usta do spuchniętego policzka dziewczyny z zaropiałemi oczami, świadczy o chwalebnej chęci utrwalenia momentu żywego i wdzięcznego, ale skoro to moment tylko jeden, powinien więc posiadać życie, ruch, a nie drewnianą nieruchomość i bezmyślność, które tutaj cechują całowaną.

Do lepszych stanowczo dzieł należy „Mnich“ p. Gliceinsteina, uderzający charakterem gminnego pochodzenia, które wybornie wyziera z szerokich kości policzkowych i grubych warg, oraz wyrazem nowicyatu w nieśmiałym jeszcze wzroku. Dobry to typ mężczyzny. Gdy napomkniemy słówkiem o bardzo starannem „Znalezieniu krzyża św.,“ wypukło rzeźbionem w drzewie przez p. Panasjuka, o dekoracyjno-kościelnych „Chrystusach“ pp. Skonicznego i Wachulskiego, którzy chyba większej wagi do tych utworów swoich, pewno na obstalunek sumiennie wykonanych, nie przywiązują — wyczerpiemy cały zasób prac mniej więcej naturalnych i prostych. Za naciągane i przytem niepochwycone przez p. Jarkowskiego uważamy „Pierwsze wrażenie“ nagiego chłopca, który trzyma raka w palcach, ale tu jest coś w rodzaju grymasu prawdziwego. Zupełnie zaś niesmacznym wydaje mi się „Połów syreny“ p. Br. Holza; całkowicie wstrętnym, bo trywialnym i krzywym „Amor“ p. Chodzińskiego, niosący komuś w nagrodę pantofel damski (akurat temat dla jednej z pół miliona naszych malarek porcelanowych). Najmniej wogóle udaje się naszym rzeźbiarzom alegorya i symbolika. P. Lewandowskiego „Oświata“ jest starym jak ciemnota artystyczna szablonem, który wyobrażać mógłby również dobrze „Dziesięć cór na wydaniu,“ a „Idea postępu“ p. Janowskiego jest ryzykownem ogromnie cofnięciem się wstecz, ku owym okresom sztuki snycerskiej, kiedy się w wysokich, spiętrzonych grupach widziało szczyt piękna. Niestety, rzeźby tego rodzaju są trudne, a „Porwanie Sabinki“ jest tylko jedno. P. Janowskiego nie myślimy (zarówno jak i wymienionych wyżej kolegów jego zniechęcać do zawodu, na którym może dopiero pierwsze kroki stawiają), ale skoro okazuje on niewątpliwy polot, śmiałość i duże poczucie kształtu, niech raczy zwrócić uwagę, że w grupie nie może przecie górować draperya, która tutaj przytłacza wszystko i wszystkich, że robotnik powinien być zrozumiałym i bez młota, że głowa robotnika nie koniecznie musi przypominać głowy wielkich mędrców, że młodzieniec z sakwą pieniędzy w ręku, podający mu dłoń, wygląda tak romantycznie, jak gdyby postaciował zakochany w nim kapitał, że ziemia może być większa od kartofla, a geniusz postępu, stojący na wierzchu, niekoniecznie musi być bezpłciowym.

Cezary Jelenta.

POEZYA.

LEW.

Nadzwyczajne przedstawienie!—
Zapowiada afisz miastu —
Dziś wystąpi na arenie
Młode dziewczę lat szesnastu,
Pogromczyni zwierząt, znana
Od New-Yorku do Kamczatki,
Miss Betty Fay niezrównana
Wejdzie sama do lwiej klatki.“

Afisz z taką zapowiedzią,
Lwa ryciną bijąc w oczy,
Zdala widny nad gawiedzią,
Która przed nim wciąż się tłoczy.
Kto przeczytał — wnet pospiesza
Wraz z innymi do drzwi kasy,
Więc przed kasą wielka rzesza,
Gwar, szturchańce i hałasy;
O bilety sto ust woła
I do kratek tłum napiera —
Pot kroplami spływa z czoła
Cyrkowego kasyera.

Jeszcze pustki na arenie,
Kołem próżne stoją ławy...
Zapalają lamp płomienie,
Lecz już ten i ów ciekawy
Wszedł do cyrku, miejsca szuka,
Albo ku lwiej klatce zmierza
Ciekaw — nim się zacznie „sztuka,“
Spojrzeć w twarz srogiego zwierza.
— Pyszny okaz, daj go katu!
Co za łeb! a jaka grzywa!
Ile w oczach majestatu!
Ile w kształtach sił spoczywa!

— Jakie łapy! Boże święty!
Dziw zaiste, że zwierz dziki
Te żelazne w klatce pręty
Nie połamie, jak patyki,
Lub jak suche źdźbło badyla!
— Nic dziwnego—drugi gwarzy—
Wszak niewola obezsila
Nawet takich lwów-mocarzy.
Ot już buda się zaludnia,
Skrzypią ławki, trzeszczą schody
I gwar rośnie. Cyrk, jak studnia,
W której ciągły przypływ wody
Zasilają liczne strugi,
Wciąż napełnia się nieznacznie;
Wtem się ozwał dzwonek drugi —
Widowisko wnet się zacznie.

* * *

Przy świetle kinkietów, rozgwarze i szumie,
Otoczon w krąg tłuszczą pstrokatą,
Lew leży bez ruchu, w poważnej zadumie,
W swej klatce żelaznej za kratą.
Utkwiony w przestrzenie wzrok tego siłacza
Nie miga złotawą powieką,
Nie widzi on tłumu, co klatkę otacza —
On patrzy przed siebie daleko.
Za ściany cyrkowe, za miejskie granice,
Za góry i morza i rzeki,
Wraz z myślą stęsknioną wytęża źrenice,
Spogląda na kraj swój daleki.
I widzi tam pustyń rodzinnych rostocze
I Nubii skalne wertepy
I w gąszczach sitowia zakręty rzek smocze
I gaje palmowe i stepy.
I widzi pieczarę pod czarną tą skałą,
Co stoi na skraju pustyni,
Tam lwica i dwoje tam szczeniąt zostało;
Czy zdrowi? Czy żyją w jaskini?
Czy córka urosła? Czy synek już w płowej
Grzywiasty łeb nosi ozdobie?
Czy z matką—jak dawniej—wychodzą na łowy?
Czy przypominają go sobie?
Czy zawsze tam słońce ze wzgórza wychodzi
I hen gdzieś w pustyni zapada?
Czy liczne na błoniach w traw bujnych powodzi
Antylop koczują tam stada?
On niegdyś panował na całym obszarze
Wszechwładny w tej pustyń dzielnicy,
I drżeli przed jego obliczem mocarze
Pomniejsi — drapieżni lennicy;
Niech wyjdzie z pieczary w królewskiej postawie
I wstrząśnie złocistą swą grzywą —
Wokoło zwierz każdy przypada ku trawie,
Lam stada pierzchają co żywo!
Niech ryknie — grzmią echa od końca do końca
I grozę w pustyni roznoszą!
Poczuciem potęgi tętniła krew wrząca
I pierś się zdymała rozkoszą.
Zaiste jest wielką rozkoszą poczucie
Swej władzy i sił swych potęgi!
A dzisiaj... król pustyń ulega szpicrucie
I znosi bolesne jej cięgi!
On mocarz, któremu w bezmiernej pustyni
Bywało za ciasno przed laty,
Dziś niby szczur podły w tej kuli się skrzyni
I na świat wygląda... z za kraty!
On że to? I co się z nim stało, o Boże!
Gdzie jego lwie serce i siła?
Tak spodlał, że siebie już poznać nie może!
Jakże go niewola zmieniła!
Onegdaj — naprzykład — wśród nocy dostrzega,
Że u drzwi otwarta zasuwa:
Aż zadrżał z radości i z klatki wybiega,
Już rozkosz swobody uczuwa.
Przeskoczył arenę, przycupnął pod ścianą
I myśli, co dalej uczyni:
Niech tylko drzwi cyrku otworzą się rano,
Wnet umknie ku swojej pustyni.
Wtem jakiś tuż obok szmer ciszę zaburza,
Uczuciem przejmując go trwożnem;
Snać jego ucieczkę dopatrzył wzrok stróża,
Więc idzie z ognistym doń rożnem.
O straszny to oręż! Piekielne te pręty
Czuł nieraz na skórze swej gładkiej!
Ma-ż znowu doświadczać katuszy przeklętej?
I groźny lew uciekł do klatki.
Drżąc, czekał, a serce mu targał strach srogi,
Gdy słuchał tych szmerów wśród ciszy.
Lecz wkrótce poznaje przyczynę swej trwogi:
O hańbo! lew przeląkł się... myszy!
Więc tak już znikczemniał!.. I na to wspomnienie
Królewska krew jego się burzy!
Nie! Raczej śmierć sama, niż to upodlenie!
Tej hańby nie zniesie już dłużej.
Niech pozna nareszcie robactwo to ludzi,
Co tu się ciekawie tak garnie,
Że nawet w tym stanie lew, kiedy się zbudzi,
Nie puści swej krzywdy bezkarnie.

Skrzypnęły drzwi klatki, dziewczynka z pejczykiem
Wstąpiła odważnie do wnętrza.
Lew powstał, strasznym przywitał ją rykiem
I krew w nim zawrzała goręcsza,
Źrenice mu zatlił blask jakiś ponury,
Utkwił je w dziewczynę zuchwałą,
Wyszczerzył rząd zębów, obnażył pazury...
Tłum przycichł — tysiące serc drżało.
Wtem wstrząsnął łbem dużym, nastroszył kędziory
O kształtach wijących się żmijek,
Podkurczył się w sobie, zamierza skok spory,
Hopla!.. I przesadził przez kijek!

Włodzimirez Wysocki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KWESTYA KOBIECA.

(według J. Z.).

Sprawa niewieścia należy do rzędu zagadnień, nurtujących w głębinach społeczeństwa nowożytnego. Fale jej zbiegają się i łączą wraz z innymi prądami, tworząc odmęt burzliwy, war gorączkowych pragnień i dążeń, czasami butnych i porywczych, rojeń wybujałych lub też mgławicznych i sentymentalnych. Powstanie i rozwój tego ruchu, wogóle zarys historyczny nie jest przedmiotem niniejszego artykułu. Chcemy tylko na podstawie świeżo wydanego dziełka p. J. Z. wskazać znamiona naczelne współczesnej kwestyi kobiecej, podkreślić wzmagającą się wartkość tego prądu, oznaczyć atmosferę duchową i hasła przewodnie. Autorka traktuje rzeczy poważnie i przedmiotowo. Nie wydziela ona tej sprawy z różnolitego pasma życiowego i nie tworzy z niej widowni teoryj mglistych a krzykliwych; nie wydyma jej do miary ogniska, skąd wybiegają promienie wszystkich współczesnych bied i wad; nie dopatruje się w pomyślnem jej rozwiązaniu źródła rajskiej szczęśliwości i błogostanu wszechludzkiego. Pani J. Z. nie jest rzeczniczką i wyznawczynią „patryotyzmu kobiecego," nie powiewa, jako sztandarem, spódnicą postępową, czy też emancypacyjną, nie wydaje okrzyków samochwalczych i zwycięzkich na cześć jakiejś specyalnej intuicyjności umysłu kobiecego, w walkach i dążeniach społecznych ni widzi jedynie wrogich zapasów dwu płci. Słowem, nie jest to pospolita kwoczka, spoglądająca na świat z wyżyn własnego śmietnika „domowego," lecz także nie patrzy nań przez pryzmat górnych i mglistych żądań, nieokreślonych porywów do wyzwolenia się z pod przedawnionych praw i zwyczajów. Dla całego zastępu kobiet ze sfery inteligentnej sprawa emancypacyi społecznej i duchowej przedstawia się jako proces wielce złożony, proces walki z przekazanym tradycyjnie kodeksem moralno-społecznym, proces przystosowania się do zmienionego otoczenia. Ogniwa jego są liczne i wielobarwne: bezwzględny protest przeciw panującym formom, niedość wyrozumowany kult nauki, częściowe kokietowanie z wiedzą lub pościg za robieniem wykwintnej toalety duchowej, czynienie z tej sprawy jakiejś ewangielii wszechludzkiej, chęć zrównania się i wzorowania na mężczyznach, popęd do wyrwania się z ciasnych szranków własnej płci i stania się jakimś „wszechczłowiekiem," istota posiadająca o ile można najmniej cech kobiecości, lub też, w następnej fazie, powrót i zazdrosne przestrzeganie tych znamion.

Ale zwróćmy się do samej książeczki.

W pierwszym rozdziale: „Przełom w stanowisku społecznem kobiety" powiada autorka, że prócz epok, kiedy prawo macierzyste zapewniało kobiecie wybitne i wpływowe stanowisko w społeczeństwie, znajdowała się ona zawsze w położeniu uciemiężonej, była człowiekiem drugiego stopnia, istotą niższego gatunku. Nie można za to winić nikogo, gdyż stanowisko kobiety jest wynikiem stosunków społecznych, które znowu były tworem szczególnych warunków produkcyi, właściwych danemu okresowi dziejowemu. „Naturalne powołania kobiety" — to odbicie się owych rzeczowych warunków w głowie ludzkiej. Mocodawczego znaczenia bynajmniej nie posiadają w tym razie jakieś wiecznotrwałe idee lub niezmienne przeznaczenia. Odrębność działalności niewieściej wypływa z odmiennego podziału pracy, jaki owładnął i utworzył dwa obozy, dwa światy: męzki i żeński. Wskutek zmienionych warunków ekonomiczno-społecznych podstawy tego podziału zanikają i ustępują miejsca wyższej formie, bardziej uspołecznionej. Rynek pracy otworzył dla kobiety swe podwoje, lubo nie zrównał jej praw z mężkiemi, zakres gospodarki domowej stopniowo maleje. Wogóle rozwój produkcyi zburzył ekonomiczną podstawę życia kobiety i stworzył natomiast warunki dla działalności jej w społeczeństwie na „rynku życia." Nieodzowna konieczność zarobku pozadomowego wynurzyła się zarazem jako źródło złowrogie i niepokojące i jako zorza nowej przyszłości, rokująca kobietom wolność obywatelską i dostęp wszechstronny do źródeł ludzkiego szczęścia. Obecny stan jest okresem przejściowym, występuje on jednak w orszaku właściwości dosyć smutnych i ujemnych. Kobieta, zrzuciwszy jarzmo zależności ekonomicznej względem męża i rodziny, wpadła w podobną niedolę względem kapitalisty. Znajdując się zatem w tem samem położeniu, co każdy najmita, cierpi z powodu tych samych stosunków, dzieli jego widoki i żądania.

Drugi rozdział: „Kobieta a życie publiczne," jego rozumowania i żądania praktyczne gruntują się na wszechstronnem uznaniu i rozpatrzeniu tej zasady współczesnego życia, że zakres interesów kobiety przeniósł się z rodziny do społeczeństwa. Powinna więc sama występować jako rzeczniczka własnych spraw.

Książeczkę zamyka trzeci i ostatni rozdział: „Kobieta i wychowanie dzieci." Nie wolno już teraz wykluczać jej z życia publicznego pod hasłem wychowawczego powołania matki, kiedy działalność ta dla wielu została udaremniona lub też znacznie uszczuplona. Wiele kobiet nie posiada własnej rodziny lub też warunki zarobkowania odrywają ją od ogniska domowego. Te nowoczesne warunki odbierają kobiecie jej rolę wychowawczą i przekazują społeczeństwu. Przeważna większość współczesnych niewiast nie ma nawet odpowiednich do tego uzdolnień. Dzieci powinny być wychowywane według wymagań jutra, nie zaś dnia wczorajszego, kobiety zaś w swych pojęciach są jakby zdrętwiałe i trzymają się ich oburącz. Wychowanie nowożytne nie może obecnie poprzestawać na uogólnieniach empirycznych i całym balaście spostrzeżeń dorywczych, nieprzetrawionych krytycznie. Pochodnie nauki i świadomego traktowania coraz bardziej wdzierają się do kryjówki, gdzie dzieci całkowicie były oddane na pastwę przechwalonych „instynktów macierzyńskich." Wogóle kobieta jest stworzeniem niepełnem i jednostronnie rozwiniętem. Ogniskiem moralności niewiasty jest rodzina, wszystkie cnoty swe ćwiczy ona tylko w tem ciasnem kółku. Stąd pochodzi właściwa im małoduszność, surowość i okrucieństwo

względem wszystkiego, wybiegającego po za sferę osobistych przywiązań.

Prąd wyzwolenia się kobiecego płynie obecnie łożyskiem coraz bardziej spokojnem i szerokiem. Rdzenia jego nie stanowi już teraz „kwestya damska,“ czyli sprawa kobiet klas przewodniczących. Wówczas żądano tylko: gruntowniejszego wykształcenia, większej swobody towarzyskiej i normalniejszego układu stosunków prawnych pomiędzy małżonkami. Niebawem przyłączyła się dążność ku rozszerzeniu pola pracy, a potem w obsłonkach doktrynerskich i w ubarwieniu jaskrawo-politycznem wystąpiła sprawa praw politycznych. Okres ów w pierwszej swej fazie cechował się wykwintem i pewnym arystokratyzmem duchowym, a w następnej ujawniał omdlenie fantastyczno-sentymentalne. Książeczka, o której mówimy, zastanawia się nad nowym prądem i jego źródłami. Stanowi ona chwalebny wyjątek pośród prac, usiłujących przykroić umysły kobiece do gospodarskiego rozsądku, owianych majaczeniami histerycznemi, przepojonych utopijnym poglądem na stosunki społeczne albo też kołujących po błędnych szlakach fetyszyzmu dla płci żeńskiej.

Stefan Olenycz.

LIBERUM VETO.

Sprawa Brzezickiej jako zagadnienie etyczno - prawne. — Teorya samorządu i poddaństwa woli. — Urojony podział ludzi na umysłowo zdrowych i chorych.— Mędrcy, którzy wiedzą, co zawiesza lub paraliżuje wolę w chwili spełnienia czynu. — Komedya obserwacyj psychiatrycznych. — Pogląd determinizmu. — Odpowiedzialność moralna jako pojęcie społeczne. — Obłęd nie usuwa odpowiedzialności.

Proces Brzezickiej (którą sąd okręgowy skazał na 10 lat ciężkich robót z pozbawieniem praw i dożywotniem osiedleniem w Syberyi) trzymał w natężeniu uwagę szerokich kół publiczności. Wysysano wszakże z tego zgniłego owocu różnorodne soki: jedni, którzy wierzyli pogłoskom, uwijającym się po Warszawie, chcieli wycisnąć zeń krople tajemniczych orgij; drudzy, smakujące w krwi morderczo rozlanej, napawali się szczegółami zabójstwa; inni szukali włókien, łączących podsądną z organizmem społecznym; inni wreszcie usiłowali ją zanalizować psychologicznie. Nie mam zamiaru zastanawiać się tu ani nad szeregiem fałszerstw i podstępów użytych przez skazaną w jej manipulacyach pożyczkowych, ani nad (znakomicie odtworzoną w sądzie przez prof. Przewoskiego) sceną morderstwa, ani nawet nad stosunkiem Brzezickiej do moralności naszego ogółu, w którym ona nie jest bynajmniej wrzodem, zdradzającym zakażenie szerszej rozpostarte; pragnę tylko oświetlić nieco nader ważną, a w tej sprawie na pierwszy plan wysuniętą kwestyę zbrodniczego obłędu i niepoczytalności. Wrodzony lub nabyty, ciągły lub czasowy stan rozprzężenia i zaburzenia umysłowego był oddawna faktem uznanym i uwzględnianym w sądzeniu przestępców, jako okoliczność łagodząca lub całkiem uniewinniająca. Począwszy od gniewu, a skończywszy na waryactwie, przypuszczano szereg wypadków, w których człowiek traci niepodległość, że tak powiem — samorząd swej woli i zmuszony jest działać pod niezłomnym naciskiem pobudki chorobliwej. Badania, a po części śmiałe twierdzenia, dotyczące zboczeń umysłowych i zwyrodnień moralnych, które wydobyto (Lucas, Moreau, Maudsley, a zwłaszcza Lombroso) w nieznanej dotychczas liczbie i których ślady dostrzeżono w istotach i objawach wcale o to nie podejrzanych, nadały teoryi usprawiedliwień kryminalnych jeszcze więcej siły, a zabiegom obrończym dostarczyły nowej i skutecznie używanej broni. Bo skoro wykryto tyle najrozmaitszych postaci jawnego i tajnego obłędu, skoro on z większą lub mniejszą mocą ogarnął całą prawie ludzkość tegoczesną, skoro ten robak toczy nawet kwiaty geniuszu, to czyż nie naturalnie zrodziła się chęć zwalenia nań każdego czynu, łamiącego normy kodeksowe? Ile razy więc tylko zbrodniarz nie może zaprzeczyć dokonanego faktu, zasłania się tarczą częściowej lub całkowitej niepoczytalności, ubezpieczającą go od kary. Z tej tarczy nie korzystają tylko ci, którzy nie korzystają z żadnego środka obrony— prostc, ciemne, biedne i nieszczęśliwe potwory, które dokonawszy rabunku lub mordu, idą bez protestu do więzienia lub ciężkich robót. Zastanowiwszy się uważnie nad ową kryminologią, opartą na gruncie teoryi obłędów, łatwo dostrzedz, że ona może zachować pozory logiki tylko przy bezwzględnej wierze w t. z. wolność woli. Przedstawia ona człowieka tak: jest on w zdrowiu obdarzony zupełną swobodą chcenia oraz postępowania dobrze lub źle — i wtedy jest za swe czyny odpowiedzialny przed każdym trybunałem moralnym i prawnym. Jeżeli wszakże ta jego doskonała równowaga umysłowa zostanie naruszona stale lub czasowo przez jakąś przypadłość, chorobę, afekt, wtedy nie ma on swobody chcenia i postępowania, działa pod przymusem wewnętrznym i za to nie jest odpowiedzialny, jak furman, któremu rozbiegane konie wyrwały lejce i pędzą na oślep, rozbiły powóz. Jest to — jak rzekłem — rozumowanie z pozoru logiczne, a nawet pomimo zasadniczego błędu miałoby pewną wartość praktyczną, gdyby jego podstawa fałszywa nie była jednocześnie bardzo ruchomą. Mianowicie, nikt dotąd nie wyśledził granicy, oddzielającej ludzi umysłowo zdrowych od chorych; nikt nie wynalazł probierza, odróżniającego normalnych od nienormalnych; nikt wreszcie nie oznaczył, jakie stany zawieszają lub znoszą swobodę woli, a jakie ją pozostawiają nietkniętą. Sam nawet kodeks i opinia publiczna zabraniają dokonywania takich rozgraniczeń. Bo przypuśćmy, że znacie człowieka, który miewa napady epileptyczne, przywidzenia prześladowcze lub rozmawia z duchami i że go nazwiecie waryatem. Jeśli on obrażony poda skargę do sądu, zostaniecie ukarani za potwarz, gdyż wcale nie dowiedziecie słuszności waszego twierdzenia. Nazajutrz ten sam człowiek zamorduje i ograbi kogoś, a jeśli na obronę swoją przytoczy te same napady i przywidzenia — może być uniewinniony jako waryat. Te same więc objawy, w tym samym człowieku, przed tym samym sądem świadczą raz o zdrowiu, a drugi raz o chorobie. Czyż to nie zdradza zamętu pojęć?

Mógłby tu jego wyznawca przez analogię powołać się na podobną metodę w ocenie działania trucizn. Jeżeli wykryjemy, że komuś dano $^1/_{10}$ grana morfiny, to jeszcze nie mamy dowodu, że go chciano otruć, gdyż taka dawka nie zabija; ale jeżeli przekonamy się, że mu dano 10 granów, wnioskujemy, że chciano go pozbawić życia. Również 10 granów waryactwa paraliżuje wolę, a $^1/_{10}$— nie. Byłoby to słusznem, gdybyśmy umieli tak ściśle wykrywać i odważać obłęd, jak trucizny. Ale, niestety, brak nam ku temu stosownych odczynników, nie możemy na czułe szalki kłaść zwyrodnień, histeryj i drgawek, ażeby z ilości ocenić ich działanie na wolę. Wprawdzie są tak szczęśliwi i utalentowani „specyaliści,“ którzy nie przyznają się do tej niemocy i zapewniają, że w każdym wypadku umieją stwierdzić, czy dany osobnik w chwili przestępstwa nosił w sobie porcyę szaleństwa dostateczną do skrzywienia woli, czy też nie. Dajcie nam zbrodniarza na kilkotygodniową obserwacyę— mówią oni do sądu z pewnością chemików, mających zanalizować piasek— a my wam powiemy, jaki był stopień niezależności jego woli w chwili spełnienia przestępstwa. Jest to wszakże jeden z najgrubszych humbugów, jakie grasują w nauce i dziwić się należy wielce, że go podpierają ludzie, którzy otrzymali od niej święcenia kapłańskie. Pomijając bowiem ten wzgląd, iż „oddany na kilkotygodniową obserwacyę“ przy odpowiedniem uzdolnieniu może tak zręcznie odegrać koncert udawania, że wyprowadzi w pole najbystrzejszego obserwatora; kto ściśle myślący przyzna jakąkolwiek wartość spostrzeżeniom, zebranym podczas kilkunastu lub kilkudziesięciu wizyt, a mającym posłużyć do orzeczenia, czy obserwowany jest nieograniczonym władcą, czy poddanym swej woli? A nawet gdyby to było możliwe, czy podobna w tych odwiedzinach zbadać stan jego umysłu w chwili dokonania zbrodni? Nie ma lekarza, któryby się odważył powiedzieć, że pacyent przed rokiem miał zapalenie kiszek, a są tacy, którzy chcą decydować, że podsądny przed rokiem był lub nie był poczytalny. To sztuka, a nadewszystko odwaga, wobec której blednie zdolność wyczuwania pulsu za pomocą kija!

Słowem tedy, chociaż zwolennicy samorządu woli pozornie postępują logicznie, przypuszczając ograniczenie jej w stanach chorobliwych, ponieważ jednak nie posiadają żadnych ścisłych probierzów do oznaczenia wpływów patologicznych na sferę chcenia i czynu, nie mogą więc określać stopnia poczytalności wszędzie, gdzie tylko nasuwa się jakakolwiek wątpliwość.

To jest strona psychologiczna kwestyi— rozważmy społeczną. Winowajca ukształcony i zamożny, pociągnięty do odpowiedzialności, wybiera sobie i opłaca wymownego adwokata, który nietylko go broni wszystkimi środkami prawa, ale żąda dlań obserwacyi lekarskiej, zbiera usprawiedliwiający materyał z całego jego życia, z życia jego najdalszych przodków, potomków i krewnych, nie pomija żadnego wybryku, słabości, zboczenia, dziwactwa — a cóż robi adwokat prostego, ubogiego zbrodniarza? Wstaje i w kilku słowach prosi sąd o miłosierdzie. Jak to, więc jedni mają być szczegółowo analizowani i rozkładani na najdrobniejsze pierwiastki swego ducha, a inni, znacznie liczniejsi, spędzani bez żadnego badania psychiatrycznego do więzień? A może między nimi są także bohaterowie opowieści Lombrosa i Maudsleya, „urodzeni“ zbrodniarze, histerycy, obłąkańcy, maniacy? Obrońca Brzezickiej, p. Kamiński, rzucił w swych wywodach uwagę, że każdy przestępca powinien przejść do sądu przez szpital. Zapewne byłoby to naprawą szczerby w wymiarze sprawiedliwości i formalnem zrównaniem wszystkich oskarżonych wobec prawa, ale nawet szpital nie rozwiąże zagadek. Lekarze stwierdzą w nim, że aresztant, oddany im pod obserwacyę, ma niesymetryczność czaszki, nadmierne rozszerzenie jednej źrenicy, nadczułość lub nieczułość połowy ciała, że objawia skłonność do tatuowania się, że cierpi na manię wielkości itp., lecz wszystko to nie przekonywa, że on nie rozporządza swobodnie wolą, że ulega fatalizmowi, że nie mógł się oprzeć pokusie zbrodni, gdyż naprzód między tymi objawami a mechanizmem duchowym nie da się ustalić ścisły związek, a powtóre bardzo wiele ludzi w tych samych stanach nie zabija nikogo. Chociaż tedy t. zw. eksperci bądź na podstawie materyału zebranego przez śledztwo i zeznania świadków, bądź z dłuższego badania szpitalnego wyrokują o poczytalności i niepoczytalności podsądnych, orzeczenia ich dla nauki ścisłej nie posiadają żadnej wartości i są tylko sztucznem łataniem dziur niewiedzy.

A teraz spojrzmy na kwestyę odpowiedzialności karnej z innego stanowiska.

Przeciwnicy teoryi samorządu woli, determiniści, rozumują tak: Nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszelki objaw, a zatem i objaw woli musi mieć swoją przyczynę; ta zaś przyczyna jest skutkiem innej przyczyny, która znowu jest skutkiem innej itd. Wola zatem nie stanowi władzy niepodległej, ale łańcuch ogniw wzajem z sobą spojonych i to zarówno zdrowa, jak chora. Różnica między pierwszą a drugą zachodzi tylko co do natury ogniw, a nie co do ich powiązania, które zawsze jest jednako ciągłem i mocnem. Z określenia tego wynika, że wszelki czyn jest psychologicznie konieczny. Rzeczywiście człowiek może *zewnętrznie* objawić swoją wolę tak lub inaczej, usiąść lub nie usiąść, chodzić lub nie chodzić, ruszyć ręką lub nie ruszyć, ale skoro usiadł lub ruszył, uczynił to wskutek *wewnętrznej* przyczyny, która mu inaczej zrobić nie pozwoliła. Teorya ta, jak łatwo dostrzedz, różni się zasadniczo od poprzedzającej już przez to, że pod względem odpowiedzialności psychicznej usuwa zupełnie podział ludzi na zdrowych i chorych, na normalnych i obłąkanych, gdyż wszelką wolę ujmuje w ciągłą prawidłowość szeregu przyczyn i skutków, działających z siłą konieczności. A więc żadna, nawet najgorsza, najwystępniejsza nie jest moralnie i prawnie odpowiedzialną? Musimy się porozumieć co do tego ostatniego wyrazu. Odpowiedzialność nie jest pojęciem psychologicznem, ale społecznem, mianowicie oznacza ona stosunek prawnomoralny czynów ludzkich do ogółu i jego ustaw. Nawet ze stanowiska teoryi wolnej woli furyat nie jest poczytalny, a jednakże skazujemy go, jak przestępcę, na dożywotnie zamknięcie w więzieniu szpitalnem. Gdyby ktoś zachorował na cholerę, odcięto by go natychmiast od stosunków ze światem, pomimo że przecie nie uczyniłby tego z własnej woli. Brak więc tej ostatniej nie znosi wcale odpowiedzialności, a nawet poniekąd ją wzmacnia. Człowieka złego usiłujemy zmienić namową, groźbą lub prośbą, tymczasem wilka zabijamy odrazu. Wyobraźmy sobie, że mamy do osądzenia dwu przestępców: jeden jest zdecydowanym waryatem, drugi człowiekiem najnormalniejszym według reguły Maupertuis'ego, uważającego moralność za rachunek korzyści i strat; pierwszy nie przedstawia nam żadnej rękojmi, że nie dopuści się zbrodni ponownie; przeciwnie drugi, przekonany skutkami o błędności swego obliczenia, prawdopodobnie nie powtórzy występku; którego z nich powinniśmy skwapliwiej usunąć ze społeczeństwa? Stanowczo pierwszego, bo jest niebezpieczniejszy. A zatem zbrodniarzów obłąkanych należy surowiej karać, niż zdrowych? — zapyta czytelnik. Jeżeli karę — do czego zresztą ustawodawstwa kryminalne dążą i do czego dojdą — pojmiemy nie jako odwet i zemstę społeczeństwa, ale jako ubezwładnienie osobników dlań szkodliwych, to na powyższe pytanie determinizm dać może tylko odpowiedź twierdzącą. Naturalnie wtedy musiałaby się zmienić organizacya więzień, ale to inna sprawa, którą w tej chwili zajmować się nie będziemy.

Według determinizmu tedy wszyscy ludzie są nieodpowiedzialni psychicznie i wszyscy są odpowiedzialni społecznie, a to tem bardziej, im silniejszy jest fatalizm ich woli w kierunku złych czynów. Gdy ten pogląd zapanuje w prawodawstwach karnych, zniknie podział przestępców na zdrowych i chorych, poczytalnych i niepoczytalnych, znikną ekspertyzy psychiatryczne, zniknie całe pasmo sprzeczności, wykrętów, naciągań, śmiesznych orzeczeń, które dziś zasłaniają wzrok sprawiedliwości.

Poseł Prawdy.

ROZCIĘCIE WĘZŁA.

Na ogólnem zebraniu akcyonaryuszów kolei Warsz. - Terespolskiej prezes rady, p. L. Kronenberg, w obszernej mowie wyjaśnił, w jakim stanie znajdują się rokowania co do zwiniętej kasy emerytalnej. Ja wiadomo, rząd przy skupie tej kolei za należący do niej majątek uznał również t. z. fundusz eksploatacyjny oraz pewne dodatkowe nieruchomości (szkołę techniczną, magazyny tranzytowe itd.), Towarzystwo wystąpiło naprzód z pretensyami do tej własności, a gdy jej odzyskać nie mogło, zaproponowało przelew z kapitałów spornych 350,000 rs. do kasy emerytalnej na pokrycie emerytur już przyznanych oraz składek urzędników na służbie pozostałych. Zasób tej kasy wynosi obecnie 803,700 rs. w papierach procentowych i 5,440 rs. w gotowiźnie, podczas gdy same pensye emerytalne wymagają rocznie 105,646 rs. Gdyby tedy uzyskano ową żądaną sumę 350,000 rs., emeryci otrzymaliby do proporcyonalnego podziału cały kapitał, jaki kasa w dniu zamknięcia posiadała, a urzędnicy — wniesione wkłady z 5% składanym. P. Kronenberg, przypuszczając, że rząd na ten układ się zgodzi, prosił akcyonaryuszów o pełnomocnictwo, które mu udzielono.

Przyznać trzeba, że dla uczestników kasy jest to możliwie najszczęśliwsze rozwiązanie węzła, który im — zwłaszcza nieemerytom — groził zupełną utratą znacznych nieraz składek.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KREDYT PRZEMYSŁOWY.

Ogromne ożywienie wywołała postanowiona reforma Banku Państwa we wszystkich warstwach, żądnych kredytu, tudzież szereg wniosków, wypowiedzianych między innemi za pośrednictwem tutejszego oddziału Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu. Zanim zdania i szczegóły, zaczerpnięte u różnych źródeł, stworzą całokształt potrzeb pilnych i wpłyną na odpowiedni kierunek, zobaczmy, w jakim stopniu jest zależny dział wielkiej produkcyi od kredytu wyłącznego, na który właśnie położono obecnie nacisk. P. Nikodem Krakowski jeszcze przed zapojektowaniem powyższej reformy, wysnuł bardzo praktyczny plan kredytu dla przemysłu tutejszego i na poparcie swych dowodzeń podał w pracy, ogłoszonej w Warszawie *), szereg czynników, którego współdziałały w rozwoju wytwórczości Królestwa Polskiego. Dochodzi on do uzasadnionego przekonania, że obok środków prawodawczych i administracyjnych, najdonioślejsze znaczenie miała działalność b. Banku polskiego. W okresie najżywotniejszym (1833—1855) pożyczki tej instytucyi, udzielone na cele przemysłowe, wynosiły rs. 92,000,000. Wpływ nowoutworzonych r. 1870 banków nie miał już wielkiego znaczenia dla przemysłu. Wszystkie zajmowały się przeważnie kredytem handlowym i pośrednictwem bankierskiem, przemysłowy zaś był tylko malutką cząstką operacyi. Jakież np. mają znaczenie obroty banku łódzkiego, zamknięte w granicach kilkomilionowych, wobec *stu milionów* rocznej produkcyi? P. Kr. zwraca uwagę na charakterystyczny szczegół, że obroty niejednej firmy bankierskiej w stosunkach z przemysłowcami o wiele są szersze, niżeli działalność w danym zakresie wszystkich banków razem wziętych. Olbrzymia większość fabryk, szczególnie okręgu sosnowickiego, korzysta od dawna z kredytu zagranicznego na niesłychanie uciążliwych warunkach. Ten punkt ciężkości produkcyi na zachodnich kresach Królestwa daje się wytłomaczyć zjawiskiem, że ³/₄ fabryk sosnowickich są bądź własnością cudzoziemców, bądź odłamem zakładów zagranicznych. A przecież ten okrąg, pomimo że rozwój jego (po za kopalniami) widocznie zarysowywa się dopiero od lat 15-tu, w potędze swojej góruje nad łódzkim. Wpływa na to wiele przyjaznych warunków czysto miejscowych. Okrąg sosnowicki korzysta z obfitych wód Czarnej Przemszy, posiada niewyczerpane kopalnie węgla, wapna, galmanu, ołowiu itd.; dzięki bliskości granicy, korzysta z napływu tanich sił roboczych (w okręgu łódzkim na ogół robotników przypada 7% cudzoziemców, w sosnowickim — 33%, w samem zaś ognisku — 75%). Z ogólnej liczby fabryk na przestrzeni pogranicznej $^{1}/_{4}$ powstała w okresie 1860—1870, $^{3}/_{8}$ od r. 1870 do 1877, wreszcie *połowa* po r. 1877. Przyrost (w ścisłem obliczeniu) od r. 1877 do 1887 w okręgu sosnowickim wynosi 59%, na całem zaś pograniczu — 81%. Przemysł w okręgach łódzkim i warszawskim również w ostatnich latach ogromnie się rozwinął. W r. 1857 cała produkcya Królestwa wynosiła 31 milionów podług p. Simonienki, 53 podług p. Załęskiego, w r. zaś 1870/72 już 73 mil. w obliczeniu Załęskiego, 192 mil. według Orłowa. Obecnie, według przypuszczalnych obliczeń p. Krakowskiego, ogólna produkcya wynosi 250 milionów rocznie. Na tak szybki rozrost wpłynęły między innemi: rozwój sieci kolei żelaznych i rozszerzenie rynków zbytu. Przy tem wszakże stałem wzmaganiu się produkcyi, wielką w niej szczerbę wyrządził zastój, panujący od r. 1878 do 1892 i chociaż obecne od paru miesięcy trwa silne ożywienie, nie można tego uważać za zjawisko stałe. Gorączka przeminie i znowu zapanuje cisza, dotkliwa zarówno dla wytwórców jak i mas robotniczych. Chcąc to ożywienie podtrzymać i utrwalić tudzież wogóle rozszerzyć i wyrównać drogę, po której kroczy przemysł obecny, należy stworzyć kredyt dogodny. Oto, co pisze L. Hiernaux w swem dziele konkursowem: *Organisation du Crédit au travail*: „Kredyt dyskontowy, który wystarcza na potrzeby handlu, nie jest dostateczny dla przemysłu, gdyż ten wymaga zwykle unieruchomienia większych kapitałów, wznoszenia obszernych budowli tudzież ruchomości ważnych i złożonych, podczas gdy przedsiębiorstwo handlowe nie pochłania wielkich kosztów organizacyi. Kupiec po uskutecznieniu pierwszych zakupów wydaje na nowo pieniądze dopiero po sprzedaniu towaru; dość często sprzedaje wieczorem te, które rano otrzymał. Czasem dostarcza klientowi towary, które nawet jeszcze do jego magazynu się nie dostały. Przemysłowiec nie może działać w sposób tak doraźny; zmienia on istotę lub formę zakupionych materyałów surowych, a złożony proces fabrykacyi wymaga nieraz bardzo wiele czasu. Przemysłowiec nie może ściśle zastosować swoich zakupów do sprzedaży.“

Sprawa ta na Zachodzie zarówno teoretycznie jak i praktycznie, poważnie jest traktowana. U nas ruch w tym zakresie dopiero od paru miesięcy się zaznacza. Jakeśmy rzekli, pierwszy p. Krakowski żywiej tę kwestyę poruszył i wskazał potrzebę założenia wyłącznej instytucyi kredytowej dla przemysłu z rozgałęzieniami w Łodzi i Sosnowicach. Zadaniem jej powinno być oprócz kredytu dyskontowego, także długoterminowy, amortyzacyjny; obok kapitału akcyjnego, musi posiadać prawo emitowania obligacyi długoterminowych. Naturalnie, ludzie kierujący takim

*) „Rzut oka na rozwój przemysłu i najpilniejszą jego potrzebę. Warszawa, 1893.

bankiem powinni być obeznani nie tylko z finansową dziedziną, ale z przemysłem, prawodawstwem, ekonomią itd. P. Krakowski poczytuje za rzecz pilną, ażeby rozporządzający odpowiedniemi siłami Bank handlowy w Warszawie przystąpił do założenia dwóch filii: w Łodzi i Sosnowicach, z odpowiedniem wszakże rozszerzeniem ustawy na rzecz potrzeb przemysłu. Projekt ten powstał przed obecną zapowiedzią reformy Banku państwa. Jeżeli więc przy tej sposobności uwzględnione będą ogólne żądania interesowanych, kredyt przemysłowy ześrodkuje się w instytucyi państwowej, która rozszerzy ustawę i rozrzuci swoje filie po wszystkich mniejszych i większych ogniskach produkcyi. Kredyt taki powinien się rozpadać na dwa zasadnicze działy: obrotowy — na potrzeby bieżące lub podtrzymanie mniej produkcyjnego okresu i — zakładowy — na rozszerzenie fabryki, rozwój produkcyi, nowe maszyny, narzędzia itd. Ten właśnie rodzaj musi być długoterminowy i amortyzacyjny.

Ciekawe są zasady kredytu przemysłowego w Finlandyi, przypominające nieco rzymską hypotekę: ruchomości i nieruchomości podlegają zastawianiu, przy czem sam majątek zostaje w rękach dłużnika. Nie tylko maszyny i zabudowania fabryczne stanowią rękojmię bezpieczeństwa dla instytucyi kredytowej, ale nawet wszelkie warsztaty rzemieślnicze, posiadające jakiekolwiek motory mechaniczne, mogą korzystać z pożyczek bankowych. Agent ocenia w przybliżeniu wartość inwentarza i określa rozmiary kredytu; odpowiednio do tego otwiera się rachunek bieżący. Jest to ogromne ułatwienie nawet dla drobnych wytwórców. Otóż obecnie przejawiają się mniej więcej w podobnej formie żądania. Dzisiaj znane jest charakterystyczne zjawisko w całem państwie: nawet wielkie fabryki, położone po za granicami miasta, pozbawione są przywileju korzystania z kredytu hypotecznego, pomimo, iż przedstawiają one wartość kilkuset i więcej tysięcy rubli. Wobec prawie jednomyślnych głosów z łona interesowanych, można mieć nadzieję, że przy reformie Banku państwa będą uwzględnione pożyczki nietylko na zastaw zabudowań fabrycznych, ale także wszelkich maszyn i motorów. Na podobnych podstawach miałby także wielkie znaczenie kredyt dla przedsiębiorstw rolnych.

Drog.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

W sekcyi rolnej oddziału warszawskiego Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu sprawa stosunku plantatorów buraków do cukrowników znowu zajęła pierwsze miejsce w obradach, które wszakże nie dały zbyt jasnych i stanowczych rezultatów. Całe traktowanie kwestyi przybrało cechy kroków wstępnych. Okolice gostyńskie, sochaczewskie i płockie, jako najbardziej obfitujące w cukrownie, największą liczbę przedstawicieli zyskały dla poprawienia i obrony swych interesów. Obie sekcye (przemysłu rolnego i cukrownictwa) przyszły do przekonania, iż układy o ceny buraków powinny być zostawione w pojedynczych wypadkach stronom. „Trudno żądać, aby rolnik uprawiał buraki, jeśli mu się lepiej opłaca zboże; trudno wymagać, ażeby cukrownia płaciła pewną oznaczoną cenę za produkt surowy, jeżeli się jej nie opłaca przy tej cenie fabrykacya cukru.“ Takie charakterystyczne czyniono uwagi. Uzależnienie wartości buraków od polaryzacyi (stopnia cukrowości) pociągnęłoby za sobą potrzebę utrzymywania chemika ze strony plantatorów. Komisya z delegatów obu sekcyj zamierza dążyć do omówienia zasad stałych pod względem przyjmowania towaru, ważenia itd. Będzie to zadanie nadzwyczaj trudne ze względu, iż przeszło cztery dzieści cukrowni jest rozsianych w różnych zakątkach Królestwa, a więc niemal każda z nich (a przynajmniej pewne grupy) podlega różnorodnym warunkom; spory zatem o cenę muszą być nieuniknione. Dla załagodzenia tej sprawy postanowiono do delegacyi wybrać plantatorów z różnych części kraju. Niektóre fabryki nie czekając rezultatów narad, załatwiły prywatnie „palącą sprawę.“ Cukrownie: w Ostrowach, Konstancyi, Łaniętach, Sójkach, Budzyniu, Tomaszowie i Dobrzelinie podniosły cenę buraków plantatorom o $7\frac{1}{2}$ kop. na korcu. (Pierwsze cztery płaciły po 95 k., trzy ostatnie po rs. 1). Fabryka w Łaniętach podnosi procent wytłoków z 30 do 50 kop. i nadto uwzględnia żądania plantatorów co do wagi buraków i zaprowadzenia gwichtów, ciągnących do 10 funtów. Okazuje się zatem, wbrew twierdzeniu rajców, że nie jest rzeczą trudną podniesienie ceny produktu surowego i że pomimo jej wzrostu fabrykacya będzie się jeszcze dobrze opłacać.

Sprawa kształcenia praktykantów gospodarczych, poruszona przez p. Nieniewskiego, również nie może być obojętną dla rolników, którzy oddawna cierpią z braku uzdolnionych oficyalistów niższych. Doświadczenie dowiodło, iż ten rodzaj pracowników rolnych najbardziej jest poszukiwany i pomimo to najmniej jest ludzi uzdolnionych w tym zakresie. P. N. uważa za środek zbawienny fermy gospodarcze, które urządzić powinni sami rolnicy. Autor cały swój plan bardzo pięknie rozwija, w zastosowaniu atoli praktycznem projekt zmalałby znacznie.

Bardziej specyalny charakter nosił odczyt p. Dobrskiego o uprawie zbóż i roślin, najwięcej rozpowszechnionych w rolnictwie. Na pozór sprawa błaha, ma w gruncie rzeczy znaczenie ogromne dla ziemian, gdyż wskazówki czynione na mocy doświadczeń w zakresie przystosowywania ziarna i traw do różnorodnych rodzajów gleby mogą nieraz uchronić od znacznych strat i zawodów. Szkoda, że garstka danych p. Dobr. dotyczy jednej tylko miejscowości. Nie jego to wszakże wina, ale tych, którzy nie chcą się dzielić własnemi spostrzeżeniami z ogółem rolników.

Stowarzyszenie spożywcze. Sklep stowarzyszonych urzędników kolei Nadwiślańskiej wykazuje za rok ubiegły pomyślne rezultaty. Dywidenda od udziałów dosięga 6%, od zakupów zaś, czyli od wybranych towarów — 3% z małym ułamkiem. Obrotu było około 40,000 rs. Niektórzy członkowie zwrócili uwagę, że bardzo wielu uczestników wcale nie robi zakupów w sklepie spółki, a więc nie popiera jej interesów, korzysta jednak z dywidendy od udziałów (niektórzy mają ich po kilka). Zaprojektowano więc wykreślenie takich uczestników obojętnych lub też zwrócić im udziały piętnasto-rublowe, a pozwolić zostać tylko przy jednej akcyi. Dziwny pomysł! Zdaje się, że źródło złego spoczywa gdzieindziej. Nieraz dochodziły nas skargi, że w sklepie stowarzyszonych trzeba wyczekiwać po godzinie i więcej, gdyż każdy kupujący musi przejść przez wszystkie szczeble formalistyki — notowania w księgach. Jest to rzecz konieczna dla kontroli, ale czy nie można byłoby wynaleźć jakiegoś uproszczenia? Ktoś radził, aby na mocy pewnych ustępstw ułatwiono nabywanie towarów w sklepach spożywczych, w różnych punktach miasta.

Kontrakty kijowskie. Spodziewany jest liczny zjazd cukrowników, a więc i ożywienie w tej gałęzi handlu. Zdaniem *Odesk. list.*, zastój obecny wywołało postanowienie ministeryum skarbu, wymierzone przeciwko nadużyciom spekulantów, tj., że cukier ma być sprowadzany z zagranicy, jeżeli cena podniesie się ponad oznaczoną normę. Pomimo to cukrownie nie są wcale narażone na straty. Cena obecna, niższa od unormowanej przez ministeryum, zapewnia wytwórcom znaczne zyski. Dziś jeszcze nie jest przewidywana możność wywozu cukru za granicę, ale też nie zajdzie potrzeba dowozu, stwierdzono bowiem, że pomimo niezbyt pomyślnego urodzaju buraków, na spożycie wewnętrzne znajdzie się dostateczna ilość cukru. Takie panuje przekonanie śród warstw interesowanych w Kijowie, Odesie i wogóle prowincyach południowo-zachodnich.

— Brukselskiemu Towarzystwu wyrabiania octu ze zboża przyznano koncesyę na działanie w Rosyi.

— Ruch wywozowy wieprzów z Królestwa do Prus wzmaga się. W ciągu niespełna dwóch miesiecy wysłano 1153 sztuki karmne w cenie po 35—50 rs. z samych tylko miejscowości pogranicznych.

— W maju r. b. odbędzie się zjazd wytwórców mąki w Petersburgu, dla ustanowienia w Anglii stałych agentur, trudniących się zbytem mąki ruskiej. Delegat ministeryum skarbu stwierdził na miejscu bardzo korzystne warunki w tym względzie.

— Władza administracyjna poruszyła sprawę rozszerzenia działalności wileńskiego Banku ziemskiego na gubernie nadbałtyckie. Jednocześnie powstał projekt otwarcia w tych prowincyach filii banku włościańskiego.

— Komisya, zajmująca się sprawą uregulowania podatku stemplowego, uznała za możliwe pociągnąć do opłaty: prośby, skargi i inne dokumenty, przysyłane telegraficznie do instytucyi rządowych, tudzież odpowiedzi na nie; zaciągnięte do ksiąg urzędów włościańskich wszelkie tranzakcye pomiędzy włościanami, wreszcie świadectwa o stawaniu do służby wojskowej. Za przekroczenie przepisów o podatku pięciokopiejkowym będą ustanowione surowe kary. Podlegają podatkowi stemplowemu również przekazy pieniężne z terminem pięciodniowym. Uznano także za pożądane opodatkować w rozmiarach 10 kop. książeczki dla notowania wybranych towarów na kredyt, znieść ulgę przy opodatkowaniu kontraktów, zawieranych przez artystów z dyrekcyami teatrów rządowych, podwyższyć stempel od aktów regulacyjnych i kupna (*Praw. Wiest.*).

— Będzie dopełniony w Warszawie szczegółowy spis imienny przekupniów ulicznych i podwórzowych. Każdy, po otrzymaniu numeru kolejnego, obowiązany będzie wykupić bilet na prawo zajmowania się handlem drobnym.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Birż. Wied.* piszą: „Sądy handlowe w Państwie będą skasowane najpóźniej od 13 stycznia 1894 r., jednocześnie zaś mają być utworzone specyalne wydziały handlowe przy sądach okręgowych. Przeszkód materyalnych, zwykle grających rolę hamulca przy wszystkich reformach, w danym wypadku być nie może, ponieważ skasowanie oddzielnych sądów handlowych i utworzenie specyalnych oddziałów przy sądach okręgowych spowoduje zaoszczędzenie około 40,000 rs.“

— Na posiedzeniu rady miejskiej dobroczynności publicznej uchwalono zaprosić: p. Feliksa Czackiego na członka rady, w miejsce zaś ustępujących na własne żądanie z zajmowanych stanowisk kuratorów szpitala św. Rocha i św. Łazarza pp. Kosickiego i Ustimowicza — ks. Wachwachowa i general-majora Kulikowskiego.

— Sprawozdanie z działalności Tow. opieki nad ubogiemi matkami wykazuje: Przyjmowanie chorych, z powodu przeniesienia zakładu na ul. Hożą, odbywało się tylko w ciągu pół roku. Liczba chorych kobiet, wraz z pozostałemi z roku poprzedniego wyniosła 154, dzieci urodziło się 150. Zestawione przychody i rozchody wykazują, że bez pomocy dobroczynności publicznej instytucya obejść się nie może.

— *Rusk. wied.* donoszą: Ministeryum dóbr państwa, dla powiększenia niższego personelu leśniczego, postanowiło wydawać leśniczym po 100 rubli za każdego wykwalifikowanego należycie przez nich praktykanta.

— Towarzystwa farmaceutyczne w Wiedniu i Pradze rozwinęły akcyę podań, protestujących przeciw dopuszczeniu kobiet do zawodu aptekarskiego.

— Wydano rozporządzenie, aby oskarżeni i podsądni w wieku od 10 do 17 lat (mający pozostawać pod strażą) w sądach pokoju, mogli być umieszczani w koloniach dla małoletnich przestępców. Osoby tej kategoryi winny być trzymane oddzielnie od reszty wychowańców zakładu i podlegać władzy prokuratorskiej.

— Zatwierdzono towarzystwo, którego celem jest zapewnienie zapomóg członkom straży ogniowych miejskich i ochotniczych, okaleczałym podczas pełnienia swoich obowiązków.

— Grono emerytów i emerytek występuje z podaniem w sprawie potrącania przez izby skarbowe 10% od emerytur rządowych. Potrącanie to nie uświęcone przez Najwyższe postanowienie, ani zamieszczone w „Zbiorze praw,“ skłania interesowanych do żądania odpowiednich wyjaśnień ze strony ministeryum skarbu (*Kuryer warsz.*).

— *Graždanin* utrzymuje, że sprawa wprowadzenia przekazów telegraficznych została stanowczo rozstrzygniętą i że główny zarząd poczt i telegrafów przystąpi wkrótce do urzeczywistnienia projektu. Suma przekazu wypłacana będzie w kasie biura telegraficznego za okazaniem awizacyi.

— Dyrekcya szczegółowa łomżyńska Towarzystwa kredytowego ziemskiego wystawiła na sprzedaż 21 majątków, zalegających w opłacie rat.

— Mularze w Lubartowie, których miasto liczy około 250-u, są w kłopocie z powodu małej liczby zawartych kontraktów na roboty letnie.

— Według doniesienia *Birž. wied.*, departament rachunkowy kontroli państwa chce sprawdzić, o ile terminy płacenia rozmaitych podatków są dogodne dla płacących, o ile przypadają one w takim czasie, kiedy ściąganie ich może być uciążliwem lub rujnującem dla mieszkańców.

— Zarząd dóbr międzyrzeckich zakłada sklep spożywczy dla oficyalistów i służby dworskiej.

— Przy cukrowni w Glinojecku ma powstać sklep spożywczy i kasa przezorności i pomocy dla oficyalistów. Kapitał na założenie sklepu wypożycza fabryka. Ceny w sklepie mają być wogóle zniżone, dla oficyalistów zaś towary będą oddawane po cenie kosztu.

Szkoły. Wydział Cesarski uniwersytetu charkowskiego, a za nim senat uniwersytecki, odznaczyli medalem złotym rozprawę, którą, jak się okazało po otwarciu koperty z nazwiskiem autora — napisali dwaj studenci wspólnemi siłami. Ustawy uniwersyteckie nie przewidują podobnego wypadku.

— Towarzystwo kolei ruskich ma otworzyć własną szkołę telegraficzną, do której przyjmowani będą młodzi ludzie, posiadający świadectwo ukończenia przynajmniej 2-ch klas szkoły średniej. Kończący kurs będą otrzymywali posady na liniach, należących do towarzystwa.

Zdrowie publiczne. Według urzędowych danych, cholera w gub. płockiej grasowała od 5-go września r. z. do 20-go stycznia r. b. w miejscowościach: Wyszogrodzie, Mławie, osadzie Katowo, i we wsiach powiatu mławskiego i płońskiego.

— Dla zapobieżenia fałszowaniu win krymskich, w Symferopolu utworzona będzie stacya analityczna, która wydawać ma etykiety z napisami: „wino naturalne."

— Służbę lekarską kolei Nadwiślańskiej zwiększono o 4-ch lekarzy, których zarząd kolejowy zaprosił w charakterze lekarzy honorowych.

— Od 13-go b. m. obowiązuje już nowa taksa aptekarska, ze zniżoną ceną lekarstw, opakowania itd.

Zmarli. Eryk Jachowicz, dziennikarz, syn Stanisława, autora drobnych utworów dla dzieci. Ur. r. 1842 w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Февраля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.